odgłosy tygodnik łódzki

Rok V. ŁÓDŹ, 21 stycznia 1962 r.

Nr 3 (203) Cena 1 zł

W XVII Rocznicę Wyzwolenia Łodzi

Co w tym mieście jest najbardziej godne uwagi

Chciałbym uczcić rocznicę wyzwolenia Łodzi. Siedemnaście lat mija od tego mroźnego stycznia, kiedy wojska radzieckie uwolniły miasto od okupantów. Siedemnaście lat kończą dziewczęta i chłopcy, którzy urodzili się w tym pamiętnym roku wojny i roku pokoju. Dobijają już do matur i niebawem świat otworzy przed nimi swoje bramy. Życiorysy tych chłopców i dziewcząt — cóż to za wdzięczna okazja do podsumowania takiej rocznicy. Co by się stało z tą młodzieżą, gdyby nie to wyzwolenie, największe w naszych dziejach? Czy zapełniałaby teraz sale szkolne, a potem aule uniwersytetów? Chodzę po ulicach miasta, które było miejscem dwóch obozów śmierci, Getta i Radogoszcza które najwięcej odczuwało głód, nędzę i wyzysk. Zastanawiam się, co w tym mieście jest najbardziej godne uwagi? Czy nowe ulice i osiedla mieszkaniowe, które na oczach zmieniają charakter Łodzi? Czy nowe szkoły i świetlice? Nowe instytucje, dawniej tu nieznane, zakłady naukowe, handlowe, przemysłowe? Czy ton krajobrazowi Łodzi nadają sklepy, kominy fabryczne i smugi dymów, wiecznie snujące się nad miastem?

Te elementy składają się niewątpliwie na ogólny obraz miasta. Takie przywykliśmy je widzieć i takie ono jest. I brudne i kolorowe, i ciekawe i nieciekawe. Nowe i stare, egzotyczne i najbardziej nowoczesne. Pocztówki z dymiącymi kominami długo jeszcze nie znikną z kiosków Ruchu. Mówimy, że jest to miasto proletariuszy: łódzki przemysł zatrudnia dzisiaj dwa razy więcej robotników niż przed wojną. Ale Łódź jest także jednym z największych

Dalszy ciąg na str. 5

RÓG UL. NOWOMIEJSKIEJ I PLACU WOLNOŚCI - Fot. H. Powierża

„My nie chcemy do szkoły!"

Przedstawiamy naszym Czytelnikom kilka wypowiedzi. Ich autorami są studenci I roku Filologii Polskiej UŁ. Ton i poruszana w nich problematyka jest bardzo symptomatyczna. Napisali do nas studenci, których kontakt z wyższą uczelnią trwa zaledwie kilka miesięcy. Wypowiedzi świadczą o dalekowzroczności młodzieży rozpoczynającej studia, świadczą o rozczarowaniu do studiów (nie mogą one zapewnić tak zwanej „kariery") o pełnym niepokoju pytaniu — co dalej, co będzie z nami po studiach? Znamiennie świadczą, że perspektywa pracy w szkole to dla 90 proc. polonistów życiowa klęska.

Troska o przyszłość, której świadectwem są cytowane przez nas wypowiedzi, świadczy chyba pozytywnie o studentach. Jest w gruncie rzeczy dowodem ich dojrzałej rozwagi i próbą podjęcia świadomej decyzji w wyborze zawodu.

Studenci stwierdzają minimalną szansę otrzymania pracy poza szkołą. Trudno nie przyznać im racji. Choć chciałoby się stwierdzić, że ten — czy uzasadniony? — pesymizm jest udziałem studentów tego Wydziału co najmniej od dziesięciu lat. I od dziesięciu lat jego absolwentom udaje się otrzymać pracę również w innych instytucjach. Oczywiście, zawsze znaczny procent znajdował zatrudnienie w szkole. Nie sądzimy, by przyszli absolwenci mieli mniejszą szansę zrobienia „kariery" niż ci sprzed dziesięciu lat.

Marzenia o „prezesostwie „Związku Literatów Polskich", [illegible] dziennikarstwie, pisanie wierszy i opowiadań „z życia" zawsze charakteryzowało studentów tego Wydziału. Ale mała realność tych marzeń była też zawsze oczywista. Realizacja rozmyślań „o sławie i karierze w „elicie twórczej" nie jest bowiem związana z pobieraniem nauk na jakimkolwiek wydziale szkoły wyższej. Jest natomiast przywilejem talentu. Wprawdzie z perspektywy pierwszego roku studiów są to sprawy bardzo poważne, ale od wychowawców trudno wymagać, aby traktowali je zbyt serio. Doświadczenie uczy, że młodzież sama świetnie daje sobie radę z tymi problemami, że sama potrafi rozsądnie wyrokować o swojej wartości i rozwikłuje problemy „ja" i „świat" na ogół bez większych pomyłek. Trzeba na to tylko czasu. A pięć lat studiów to czas dostateczny na dojrzewanie. Pozostaje jednak do rozważenia zasadniczy problem — przygotowanie polonistów do pracy w szkole i ten zbiorowy okrzyk: „My nie chcemy do szkoły!"

Dokończenie na str. 4

Tajemne zapasy

Regina Elkan

Sylwetka pięknego Edwarda niechętnie chadzającego w cieniu rosnących murów na placu Dąbrowskiego (patrz „Odgłosy" Nr. 2-62) zaabsorbowała moją wyobraźnię.

O Teatrze Narodowym myślałam często z niepokojem i bez optymizmu, ale taka już jest przekorna babska natura, że kiedy zobaczyłam „czarno na białym w gazecie", iż ktoś jeszcze rozmyśla o tej sprawie pesymistycznie, puściłam wodze myślom w kierunku przeciwnym i zaczęłam szukać na niebie gwiazd wróżących dobre dni naszej Operze Łódzkiej. Pompa ssąca nasunęła mi przedziwne, różne skojarzenia.

Po pierwsze, przyszło mi do głowy, że w związku z Tysiącleciem należałoby sięgnąć do materiałów historycznych z dziejów ojczystych. I nawinęła mi się pod rękę legenda o smoku wawelskim. Czy nie wydaje się prawdopodobne, że smok jako taki nigdy nie istniał, że to zamek wawelski w stadium budowy wysysał życie mieszkańców, a raczej młodych i pięknych mieszkanek podgrodzia (bo zapewne tylko takie angażowano w charakterze robotnic budowlanych), a legenda przekształciła rosnące na wzgórzu mury w paszczę nienasyconego potwora; że mityczne pęknięcie bestii nastąpiło w dniu, w którym szczęśliwy Krak wyrżnął krzepko beczkę pieniącego się trunku o gotowe zamczysko, aż echo odpowiedziało w okolicznych lasach, a niedoszłe ofiary smoka na ten znak odetchnęły z ulgą? — Tu nasunął mi się wniosek optymistyczny pierwszy: Oto Edward Szuster dał wątek legendzie łódzkiej, którą za lat tysiąc będą opowiadały matki dzieciom w naszym grodzie i wskazując na ogromne Colosseum na placu Dąbrowskiego powiedzą, że przed laty w tym miejscu żył wielki polip, który pożerał z apetytem młodość artystów i artystek łódzkiej Opery. (Chwała za to literatowi, albowiem Łódź cierpi na brak legend). Wniosek optymistyczny drugi: Miłościwie nam w mieście panujący Edward (nie mylić z Szustrem), znany z mądrości i szacunku dla tradycji, nie pożałuje zapewne szampana, a huk strzelających korków uwielokrotni hukiem po raz ostatni wypuszczonej na wolność pary z łódzkiej elektrociepłowni, aby uczcić dzień zakończenia budowy teatru i dać sygnał światu kulturalnemu Łodzi do westchnienia ulgi, a wszystkim mieszkańcom Łodzi prawo do nowych marzeń o wielkich inwestycjach kulturalnych. Po drugie, przyszło mi do głowy, że w związku z „Chwalebnym zmartwychwstaniem" należałoby sięgnąć do mądrości Kościoła, który posiada mnóstwo recept na Wyjście z Sytuacji Trudnej. I ujrzałam ów Teatr Ogromny na kształt smoka wielogłowego, któremu po odcięciu jednego łba wyrastało dziesięć nowych na tym miejscu. I zasmuciła się dusza moja. Ale oto nastąpiła zmiana w polu mego widzenia. Ujrzałam w blasku srebrzących się skroni Wspaniałego Jerzego siedzącego na tęgim koniu. I uradowała się dusza moja, albowiem rycerz ów Mocodawca Murów Rosnących ujrzawszy muzy mdlejące w paszczy potwora, chwycił ostre narzędzie planu pięcioletniego, a począwszy nim, wywijać na lewo i na prawo zabił potwora i uwolnił omdlałe muzy i zasiadł w loży honorowej, a one ku Jego uciesze rozpoczęły pienia i pląsy. A nasyciwszy oczy swoje dziwił się zdziwieniem wielkim, że nie przyspieszył wcześniej obalenia potwora i nie uczynił z jego wnętrza przybytku sztuki na osłodzenie dni swoich i na chwałę swego imienia. Po trzecie, przyszło mi do głowy w związku z sytuacją demograficzną w Łodzi, że teatr ten po zakończeniu budowy może być przyjemnym miejscem spotkań dla Tajemnych Zapasów. Skąd biorę te tajemne zapasy? Tak jak mój poprzednik z prostych wyliczeń.

Jako humanistka czuję wielki respekt dla liczby; ale jako człowiek współczesny wierzący w świat, w którym człowiek ujarzmi rzeczy i liczby dla szczęścia człowieka, zaczęłam w imię ujarzmienia widma opery granej do pustych krzeseł zmuszać liczby statystyczne do podporządkowania się moim Myślom Optymistycznym. Dane statystyczne za rok 1960 mówią, że w Łodzi mamy 714. tys. 695 mieszkańców. (Uwaga wszystkie dane liczbowe wg Narodowego Spisu Powszechnego). Zakładając, że potencjalnym widzem teatralnym jest każdy pracujący biorę pod uwagę tylko 347 tys. osób zatrudnionych. Na podstawie uznanych poglądów, że teatr i opera są formami kulturalnymi trudno dostępnymi ze względu na wysiłek psychiczny niezbędny przy odbieraniu spektaklu, biorę na początek pod uwagę tylko pracowników z wykształceniem wyższym (14 tys.) i pracowników z wykształceniem średnim (20 tys.), a więc tylu, ilu odwiedziło Operę w 1961 roku. Grupy tej zbytnio uaktywnić się chyba nie da, bo jest ona odbiorcą i innych form kulturalnych (kino, teatr, koncert, telewizor, radio, książka). Trzeba sięgnąć do innych zapasów. Tajemne Zapasy to 70 tys. robotników wykwalifikowanych i 243 tys. robotników niewykwalifikowanych. Gdyby z tej liczby — ponad 300 tys. — udało się uaktywnić kulturalnie, zdobyć jako widza teatralnego i operowego tylko 200 tys., gdyby te 200 tys. dwa razy do roku przyszło do Opery, to otrzymamy stuprocentową frekwencję 390 tys.. 10 tys. zostanie przed zamkniętą kasą, a 30 tys. starych operomanów będzie się musiało usatysfakcjonować tylko telewizorem. Mitomania, czy problem do przemyślenia? Tani optymizm, czy kierunek działania w upowszechnianiu kultury?

Można mówić o upowszechnianiu kultury pod śledzika, można pod czarną kawkę, a czemu by nie mówić pod tę łódzką rzeczywistość? Na pewno mapa placówek kulturalnych

Dokończenie na str. 2

Dokończenie ze str. 1

„My nie chcemy do szkoły!”

W tym roku na pierwszy rok polonistyki przyjęto 123 kandydatów, nie licząc kursów zaocznych, gdzie studiuje około 30 osób. Tak więc około 150 studentów rozpoczęło studia. Za pięć lat około 130 uzyska dyplomy. Liczba, przyznajmy, znaczna jak na jeden ośrodek uniwersytecki. Szczególnie, gdy ją porównamy z liczbą absolwentów w latach ubiegłych. Liczba tegorocznych dyplomantów nie przekraczała, zdaje się, 35 osób. Zwiększenie limitów wiąże się z wciąż wzrastającymi potrzebami szkoły. Zaczyna się już reforma szkolnictwa. Brak nauczycieli! Jednocześnie od lat nie zmienił się program na Wydziale Polonistycznym. Władze uniwersyteckie wychodzą z założenia, że na ich wydziałach nie kształci się nauczycieli. Istnieją przecież Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Studium Nauczycielskie, Pedagogika. Jednocześnie jednak przyjmuje się na studia blisko 150 osób z oczywistym celem wykształcenia ich na nauczycieli. Co więcej, kształciło się w ten sposób nauczycieli przez kilkanaście lat istnienia Uniwersytetu w Łodzi. 90 proc. absolwentów tego Wydziału pracuje w szkole. Tegoroczna ilość studentów na pierwszym roku nie jest wynikiem zmiany profilu czy nastawienia uczelni, jest wynikiem potrzeby wykształcenia większej liczby nauczycieli.

Mamy do czynienia z problemem godnym rozważenia. Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Studium Nauczycielskie, Pedagogika kształcą nauczycieli. Uniwersytet nie kształci. Absolwenci wszystkich tych uczelni pracują w szkole.

Ale absolwenci polonistyki nie otrzymują należytego przygotowania do podjęcia pracy w szkole. Wprawdzie na trzecim i czwartym roku studiów obowiązują zajęcia z pedagogiki i metodyki, ba, nawet są wykłady z psychologii rozwojowej uziecka, ale zarówno ich program jak i sposób wykładania pozostawia wiele do życzenia. Studenci polonistyki są też obowiązani do chodzenia na tzw. lekcje pokazowe. W ramach ćwiczeń z metodyki prowadzą samodzielnie lekcje. Tegoroczni absolwenci musieli przeprowadzić sześć takich lekcji (zauważmy ich śmiesznie małą ilość). Ta, tak zwana praktyka, przebiega zresztą w bardzo swoisty sposób. Studenci przydzielani są do różnych szkół, gdzie na ogół witają ich jak przysłowiowy „dopust Boży”.

Zarówno z przysłuchiwania się lekcjom jak i z samodzielnej pracy z uczniami studenci nie tylko niewiele wynoszą korzyści, ale co gorsza, opuszczają często szkołę z przeświadczeniem braku swoich pedagogicznych uzdolnień.

Zresztą w czasie studiów kontakt ze szkołą i jej problemami jest minimalny. Poloniści rozpoczynający pracę w szkole nie tylko muszą rozwiązywać skomplikowane problemy dydaktyczno-wychowawcze, ale są zmuszeni rozpocząć pracę nad uzupełnianiem braków we własnym wykształceniu. Nie bez przyczyny mówią przecież, że właściwie poznali literaturę polską dopiero w szkole. Muszą też, przestawić cały system swojego myślenia, muszą nauczyć się myśleć kategoriami ucznia.

Oczywiście, uniwersytet uczy pewnych metod pracy, wykształca pewien system wartości, uczy kultury, trzeźwości sądu itd. Oczywiście, praca w szkole wymaga doświadczenia, które nabywa się w ciągu lat i nawet najświetniejsze przygotowanie teoretyczne tego doświadczenia nie może zastąpić.

To zamknięte koło problemów, które autor w jednej w wypowiedzi tak trafnie porównał do „Wesela” należy jakoś rozwiązać. Należy chyba zastanowić się w jaki sposób przygotować studentów do pracy w szkole? Jakie należy środki podjąć, by młodzi nauczyciele nie byli bezbronni wobec swoich uczniów. Nieumiejętność postępowania z młodzieżą prowadzi przecież do dyskutowanych na łamach naszego pisma „błędów pedagogicznych”. A wobec braku odpowiedniego przygotowania trudno młodych nauczycieli o te błędy obwiniać.

Pozostaje jeszcze do rozważenia problem niechęci, z jaką absolwenci uniwersytetu podejmują pracę w szkole. Jest on zrozumiały, jak sądzimy, po bliższym rozpatrzeniu problemu przygotowania studentów. Absolwenci polonistyki zdają sobie sprawę z braku przygotowania. Podobnie jak zdają sobie sprawę z odpowiedzialności pracy w szkole. Podejmują ją często choć nie zawsze z przeświadczeniem, że nie będą i nie mogą być dobrymi nauczycielami. Zakładają niekiedy świadomie, że dopiero suma błędów jakie popełnią złoży się na ich wiedzę o szkole i dzieciach. Przyznajmy, że nie jest dobrze, kiedy błędy wychowawcy spadną i na wychowanka. Nie bez wpływu na to „my nie chcemy do szkoły” pozostaje też fakt, że absolwentom polonistyki pozostała obecnie już tylko praca w szkole podstawowej. Tegoroczna komisja przydziału pracy, proponowała posady wyłącznie w szkole podstawowej. Atrakcyjniejsze propozycje dotyczyły szkoły średniej w woj. łódzkim. Można też było otrzymać dobrą pracę na przykład w woj. białostockim, gdzie przedstawiciele tamtejszych władz szkolnych proponowali nawet mieszkania. Na posady te nie było zbyt wielu kandydatów. Nikt dobrowolnie nie chce się skazać na wyjazd z Łodzi. Wyjechali tylko ci, którzy nie byli na stałe w Łodzi zameldowani, albo ci, których zmusiły do tego szczególnie ciężkie warunki materialne. Oburzenie z jakim odrzucano w tym roku propozycje pracy w szkole podstawowej („nie po to kończę uniwersytet, „mogłem już dawno być nauczycielem po liceum”) świadczy o panującym wciąż przeświadczeniu, że to „coś gorszego”. Oczywiście, praca w „podstawówce” wymaga większego wysiłku. Studenci w czasie zajęć z pedagogiki w ogóle z metodą uczenia w niższych klasach się nie stykają. Ale musimy zrozumieć — dojdzie wreszcie do tego, że od wszystkich nauczycieli wymagane będzie wyższe wykształcenie. I że taka polityka władz szkolnych zasługuje na najwyższe uznanie. Znowu powraca tylko problem przygotowania do tej pracy, która nie jest przecież, jak pisze autor jednej z wypowiedzi, ani „mało ciekawa”, ani mało wydajna”, ani też nie brak w niej satysfakcji. Praca w szkole posiada wiele zalet. Gdyby nie — to skąd braliby się znami z przywiązania do szkoły nauczyciele? Ma i tę, zaletę, że mimo narzekań nauczyciele wcale nie zarabiają najgorzej. Wystarczy przypomnieć sobie choćby zarobki młodych lekarzy pracujących w Łodzi. Oczywiście nie są to wynagrodzenia wysokie. Ale jak na średnią zarobków polskiej inteligencji nie najniższe.

Na marginesie zagadnień poruszanych przez nas mieści się też sprawa programu studiów polonistycznych w ogóle. Rozpatrywane pod kątem przydatności do zawodu nastręcza zasadnicze pytanie — kogo właściwie kształci polonistyka? Przyszłych dziennikarzy? Nie. Są przecież oddzielne wydziały. Pracowników instytucji kulturalnych? Także chyba nie. Bibliotekarzy? Nie. Poloniści nie robią tej specjalności. Pracowników naukowych? Studenci pierwszego roku mają, jak się zdaje, wyrobiony pogląd na możliwości tkwiące w tej pracy. Wprawdzie młodzi ludzie pełni są zapału, ale problem jaki od lat obowiązuje na pierwszym roku może zniechęcić największych entuzjastów. Trwające cały rok wykłady z literatury staropolskiej, masa zajęć z gramatyki i starocerkiewnego, — oto program pierwszego roku. Studenci wyraźnie są z tego układu niezadowoleni. Rażące dysproporcje, nieciekawy układ wykładów, to sprawy, który marginalnie dotykają interesujących nas problemów. Trudno jednak nie zapytać: czemuż w szkołach zmieniają się programy, podejmowane są próby ich ulepszenia, powiązania z życiem.

Głosy studentów polonistyki łódzkiej powinny być w swych zasadniczych założeniach potraktowane bardzo serio. Ma z pewnością rację p. Borowska, która postulowała w „Trybunie Ludu” („Dzieci nie ryby”) aby poważnie brać pod uwagę głosy młodzieży o szkole, programach, a nawet o nauczycielach. Sprawa przygotowania studentów polonistyki do pracy w szkole powinna być jak najdokładniej przedyskutowana. Nie naszą jest rzeczą podawanie recept. Staraliśmy się, zabierając głos w dyskusji o niedostatkach współczesnej szkoły, pokazać kim jest, co myśli jak jest przygotowany przyszły nauczyciel? Obraz mało optymistyczny.

Listy

W szkolnictwie podstawowym obok absolwenta wyższej uczelni pracuje absolwent Liceum Pedagogicznego, który ma zapewne większe wiadomości z zakresu nauk pedagogicznych, lecz jego wiadomości w tym wypadku z języka polskiego są zawężone. Wiemy skądinąd, że nauczyciele nie rozwijają i nie pogłębiają swoich wiadomości. Wynika to chociażby z ankiety przeprowadzonej przez „Nową Kulturę” o stanie czytelnictwa wśród nauczycieli.

Czymże jest absolwent wyższej uczelni wśród tych ludzi?

Praca w szkolnictwie podstawowym jest mało ciekawa, mało wydajna, mało interesująca. Nie widzi się swoich wyników.

Do szkoły podstawowej nie ma się ochoty pójść, bo na cóż pięcioletni trud studiów; co zrobić ze zdobytymi wiadomościami...? Przecież tam ich nie pogłębimy..., a komu mamy przekazać...? Czy tam naprawdę znajdziemy odpowiedniego odbiorcę?

Sytuacja polonisty staje się podobna do sytuacji ludu w „Weselu”. Nie ma wyjścia z błędnego koła: wychodzimy z jednego miejsca, aby wrócić w nie.

Polonistyka staje się szara, bezbarwna, a jednak nie traci na popularności. Chyba dlatego, że w marzeniach za polonistyką stoi — KARIERA. Ale tylko w marzeniach i należy uświadomić sytuację tym rwącym się na studia polonistyczne, aby oszczędzić im rozczarowań.

* * *

Zauważyłam, że większość widzi swą przyszłość w różowych kolorach. Osiemdziesiąt procent koleżanek i kolegów to przyszli pracownicy teatralni, redaktorzy, dziennikarze, sprawozdawcy radiowi i telewizyjni, 10 proc. to pracownicy naukowi, poeci i pisarze. Niewiele, bo 8—9 proc. zdaje sobie sprawę, że będzie musiało iść do szkolnictwa, a na palcach można policzyć tych, którzy chcą tam iść z zamiłowania. Nie należę w tym wypadku bynajmniej do wyjątków. Gdy koleżanka K. zapytała mnie kiedyś co mam zamiar robić po studiach, powiedziałam, że jeśli nie dostanę pracy w jakiejkolwiek redakcji pójdę do szkoły. Jechałam na studia pełna najszczytniejszych marzeń... Cóż będzie z tymi, którzy złudzeń pozbędą się na trzecim czy czwartym roku? Na razie litościwym okiem spoglądają na tego, kto twierdzi, że z własnej woli, lub z braku laku pójdzie do szkolnictwa. Nie mogę i nie chcę pogodzić się z twierdzeniem, że studenci polonistyki uciekają przed zawodem pedagoga w pogoni za karierą.

Do jakiej pracy przygotowuje nas uniwersytet? Skoro mamy nadwyżkę dziennikarzy i inteligencji twórczej to cóż pozostaje absolwentom polonistyki? Musimy zapełnić braki w kadrze polonistów. Tylko czy do tej pracy będziemy dostatecznie przygotowani?

* * *

Na polonistyce nie ma nauczycieli! A właściwie są, lecz jest ich najmniej i można zsumować na palcach. Na starszych latach też. W czytelni słyszy się np. taką rozmowę, zaznaczam, że czwarty rok.

— Wiesz, do szkoły to ja nie pójdę. Jeszcze nie zwariowałam.

— Nie bądź naiwna. Do Warszawy cię na pewno nie zaproszą.

— No, ty jesteś naiwna. Jak pójdziesz do szkoły, to już się nie wygrzebiesz. Magda i Jurek płacą na szkołę.

— Nie mówię, że pójdę do szkoły. Ale w myśl przysłowia „z braku laku...”, zobaczę zresztą.

Najczęściej takie rozmowy można usłyszeć w hallu Biblioteki Uniwersyteckiej, ucieka się od szkolnictwa, wszystko, tylko nie belferka!! Nie chodzi o niskie zarobki, ani o ciężką pracę z młodzieżą, chociaż tym można tłumaczyć tę ucieczkę. Chodzi o to, że nie zrobi się „kariery”. A przecież trudno, przypuszczać, że redakcje pism, radia czy telewizji czekają na nas. Czy mogą zapewnić wszystkim pracę? Przydałaby się znajomość ekonomiki socjologii... Trudno, żeby ów świat „elitarny” wciągnął tysiące... Co robić, aby przekonać ludzi, że praca nauczyciela może być bardziej interesująca niż spacer z tomikiem wierszy pod pachą? Na razie nic nie mąci jasnego spojrzenia w przyszłość. Nie wiem na jak długo. Tym bolesniejszy będzie zawód. Cóż robić aby absolwenci polonistyki nie stawali się rozbitkami życiowymi.? Może ktoś z dorosłych mających jakiś wpływ na życie uczelni wypowiedziałby się, poradził, pomógł? Bylibyśmy wdzięczni za każdy głos w tej sprawie, pomagający w rozstrzygnięciu trudności znalezienia miejsca w społeczeństwie.

Na dyskusję, — której główną osią jest pytanie: co będę robiła za pięć lat można się natknąć prawie wszędzie. Czcze gadania o przyszłej, wybujałej karierze psują innym w głowie. Są tacy, którzy jechali do Łodzi z zamiarami pozostania pedagogami po ukończeniu studiów. Tymczasem po miesiącu obsiuchiwania się z tym, co mówią inni sami zaczynają zastanawiać się kto ma słuszność my czy koledzy? Większość z tych „pedagogów” stała się już dziennikarzami. O karierze naukowca mówi się bardzo mało. Jeśli ktoś o tym wspomni, inni krzywią się, że całe życie musieliby stracić czytając nudne książki i co najważniejsze musieliby zrezygnować ze swojego osobistego życia. Pedagogami w zdecydowanej większości być nie chcemy. Jaka jest więc przyszłość tych, którzy opuszczą za pięć lat uniwersytet? Z przesłanek wynika, że to marna przyszłość. Skoro świat elity twórczej nie wyciągnie do nas rąk i nie przyjmie, będziemy musieli szukać pracy gdzieindziej. Parodią z tytułem magistra do szkoły podstawowej! Dostajemy placówkę, od której przez x lat stroniliśmy, którą pogardzaliśmy. Absolwenci Filologii Polskiej, którzy pracują w szkole podstawowej żalą się, że nie potrafią zniżyć się na lekcji do poziomu umysłowego dziecka. Nudzą się dzieci, nudzą się oni. Niech na kierunek Filologii przyjmują kilkanaście osób. Niech to będą osoby, które będą miały szanse pracować po skończeniu studiów tam gdzie pragną. Wtedy nie będzie niepotrzebnych rozczarowań. Jeżeli w dalszym ciągu ciągu większość ma pracować w szkolnictwie należy większy nacisk położyć na przedmioty pedagogiczne.

sedno rzeczy

MARIAN PIECHAL

CZY ŁÓDŹ musi być prowincją?

Nie. Nie musi. Łatwo tak powiedzieć, ale fakty dowodzą czego innego. Wiele już na ten temat pisano i rozprawiano. Wyśmiewano tych, którzy przejawiali jakoby wiarę w jakiś fatalny łódzki genius loci: w tym mieście nic, co dobre, długo się nie utrzyma. Mówiono, że owszem, bywało tak w przeszłości za haniebnych kapitalistycznych czasów. Ale teraz to z gruntu wszystko się zmieniło. Że tylko urodzeni śledziennicy i niepoprawni defetyści nazywają Łódź „złym miastem”.

Oczywiście Łódź złym miastem w znaczeniu, jakie nadał temu wyrażeniu Zygmunt Bartkiewicz, nie jest. Dla przelotnych ptaków z jeszcze głębszej i dalszej prowincji Łódź jest bardzo dobrym miastem. Stąd zazwyczaj robi się ostatni i ostateczny skok na centralne stanowiska w Warszawie. Łódź jako miejsce tranzytowe, jako etap pośredni, jako jedna z najważniejszych stacji w karierze z za(du)-ścian(pia)ka do stolicy, jest miastem jedynym o niezliczonej możliwości szans. Ale dla kultury, dla możliwości jej dalszego rozwoju w jej lokalnej odmianie, dla intelektualistów i ludzi twórczych, chcących ukrzepić, rozkrzewić i wzbogacić o nowe elementy wątłe jej dotychczasowe tradycje, jest to miasto zdecydowanie złe!

Nie łaję, że mówię to pod wpływem niepowstrzymanej goryczy, jaka ogarnęła każdego chyba z bardziej ambitnych pracowników kultury na wieść, że Kazimierz Dejmek opuszcza Łódź i przenosi się banalnie już utartym szlakiem do Warszawy. Krew z krwi i kość z kości teatrów łódzkich, ich wychowanek i zarazem nauczyciel, najwybitniejsze zjawisko, przykład i wzór łódzkich scen, twórca najlepszej spośród nich, na której błędach nawet można się uczyć, duma Łodzi i poręczyciel jej ogólnopolskiego znaczenia w tej dziedzinie, a prawdziwie europejskiego poziomu w sensie artystycznym, godzącym w przedziwnie jemu tylko właściwy sposób najbardziej wyrafinowaną nowoczesność z najżywotniejszą, bo wypróbowaną przez czas i doświadczenie pokoleń, tradycją.

Kazimierz Dejmek, mimo młodego jeszcze wieku, stał się swego i swoistego rodzaju klasykiem powojennej Łodzi artystycznej, symbolem jej wiecznej młodości, wiecznie żywotnej ambicji kulturalnej, wskrzesicielem i utwierdzicielem jej najlepszych tradycji. I takiemu człowiekowi nasze miasto pozwoliło odejść! Jakże tu mówić teraz, że to miasto chce być ośrodkiem prawdziwie twórczym, skoro pozbywa się człowieka prawdziwie twórczego? Jakże tu mówić teraz, że Łódź robotnicza, stolica świata pracy, to nie tylko gigantyczny warsztat tkacki, ale także warsztat myśli twórczej, intelektu i sztuki świata pracy, ognisko nowych ludzkich wzruszeń i źródło nowych ludzkich doznań artystycznych poczętych z doświadczeń i przeżyć najszerszych mas ludu i rzesz pracujących, skoro pierwszą iskrę tego ogniska i pierwszy puls tego ożywczego źródła gasi się i zasypuje obojętnością i nonszalanckim gestem rezygnacji?

Kazimierz Dejmek nie jest mi bratem, ani swatem. Łączyła nas jedynie przez lata szczególna więź milczącego szacunku. Nie optuję na jego rzecz z pobudek bliższej z nim znajomości czy przyjaźni osobistej. Ale jeśli mi ktoś zarzuci, że kieruję się w tym wypadku sympatią osobistą, to dodam, że w najwyższym stopniu. Powiem więcej: to nie tylko sympatia mną kieruje, to mój interes najbardziej osobisty jako pisarza, a więc czynnego działacza kulturalnego w tym mieście. Czynnego, a więc chcącego być twórczym. Wśród niezwykle trudnych warunków i na ogół obojętnej atmosfery w jakich i w jakiej przychodzi ludziom twórczym żyć w tym niezwykłym i jedynym jednak mieście, taki człowiek jak Kazimierz Dejmek był krzepiącym przykładem optymizmu, milczącą poręką wytrwania i towarzyszem w kampanii o wspólną sprawę. Był bezwiednym sojusznikiem, łączyła nas spontaniczna, tym prawdziwsza, że nigdy nie wyznana przyjaźń — taka jaka łączy żołnierzy w walce lub spiskowców w idei.

Nikomu chyba nie uchybię, jeśli powiem, że Teatr Nowy w Łodzi, to Kazimierz Dejmek. Pod tym imieniem i nazwiskiem widzę nie tylko cały szereg znakomitych i niezapomnianych, a więc twórczych przedstawień, których echa rozchodziły się po całym kraju, a nawet za granicą, ale także cały doskonale zgrany zespół.

Nie chcę twierdzić, że po wyjeździe z Łodzi Kazimierza Dejmka Teatr Nowy przestanie istnieć — byłby to wyraz absolutnego braku wiary w stworzony przez niego zespół. Ale śmiem twierdzić, że Teatr Nowy straci swój dotychczasowy charakter, zmieni swoją twarz. Doceniam bowiem niezastąpioną niczym rolę wyjątkowo utalentowanej jednostki, która wyciska zawsze swoje niepowtarzalne piętno na wszystkim, co robi. Dlatego wyjazd Dejmka z Łodzi uważam za niepowetowaną stratę dla naszego miasta, jako środowiska twórczego, a dla siebie osobiście za nieledwie klęskę, tracąc wypróbowanego sojusznika w tak trudnej na co dzień w tym mieście walce o nowy i godny tego miasta wyraz sztuki, odpowiadający myśli i odczuwaniu nowoczesnego człowieka — człowieka pracy!

Czy Łódź musi być koniecznie prowincją? Nie. Nie musi! To dlaczego z niej wyjeżdża Kazimierz Dejmek? Czy Łódź musi być partykularzem? Nie. Nie musi. To dlaczego nie stworzymy w tym mieście warunków na miarę pełnych możliwości pojawiających się w nim talentów? Przecież rezygnacja z nich, z ich pracy, z ich inwencji, to nie postęp, lecz cofanie się w procesie deprowincjonalizacji naszego miasta, tak szczęśliwie rozpoczętym po ostatniej wojnie, w nowych warunkach ustrojowych naszej rzeczywistości.

O prawdziwych przyczynach wyjazdu Dejmka z Łodzi wiem więcej, niż chcę i mogę tutaj napisać. Proszę pozwolić, że przynajmniej zapytam: czy jest to sytuacja nieodwracalna? Ktoś, kto mógł ją spowodować, powinien chcieć ją odwrócić. Wbrew złym tradycjom, a w imię dobrego przykładu dla przyszłych poczynań twórczych w tym tak bogatym w nowe, a ciągle marnowane bezowocnie możliwości, mieście!

W związku z pełnym troski felietonem Marian Piechala wyjaśniamy, że Kazimierz Dejmek nie porzuca w dosłownym sensie ani teatru, w którym współtworzył, ani miasta, w którym ukazał swoje możliwości reżyserskie. Sytuacja wygląda inaczej. Dejmek pozostanie nadal w związku z Teatrem Nowym na warunkach ścisłej współpracy i opieki reżyserskiej, jego nazwisko będzie się nadal pojawiać na afiszach z okazji nowych premier, tak jak będą pojawiać się nadal nazwiska innych wybitnych reżyserów.

red.

ROMAN ŁOBODA

NAD WEŁTAWĄ

Człowiek z paszportem w kieszeni jest już zupełnie innym człowiekiem. To prawie cudzoziemiec. Jest się właściwie w kraju, a już się nie jest, już nie ma się dowodu osobistego, a już się ma paszport, robi się właściwie coś, a już się nie robi; taki półsen, półjawa — wyobrazić sobie można jacy szczęśliwi są dyplomaci albo sportowcy. Ha, ale już i samolot stoi a my siedzimy. Jest nas dziesięciu. Chłop w chłopa jak róża. Kwiat młodej literatury... delegacja pisarzy. Z Łodzi Waleńczyk i ja. Siedzimy sobie i przyglądamy się sobie; nam przyglądają się inni, albowiem skupiony wyraz naszych twarzy oraz umiarkowane, ale jakże wymowne gesty nie mogą ujść niezauważone. Czekamy na samolot, który odleci do Pragi. Jesteśmy już po konroli celnej i nikt nie ma sobie nic do wyrzucenia, gdyż jedziemy do CSRS a tam, wiadomo, wszystko nam dadzą.

Za dziesięciu czechosłowackich pisarzy — nie widziałem ich w Łodzi, ale sądzę, wcale nie mizernych — dziesięciu nieźle odżywionych polskich. Wymiana uczciwa, tylko nie wiadomo jak będzie z pieniędzmi. W Ministerstwie Kultury i Sztuki powiedzieli, że bezdewizowa. Ano, myślimy, bezdewizowa, to i dobrze, że bezdewizowa, bo poco nam dewizy, kiedy tam dadzą nam pieniądze. Niektórzy martwią się, czy wystarczy na wszystko. Oczywiście, wszystko dla każdego jest czymś innym, ale zmartwienie jest jedno. Lecz oto, po godzinnym oczekiwaniu, megafon ogłasza nasz odlot.

Na lotnisku w Pradze czekają na nas przedstawiciele Zarządu Głównego Literatów w Pradze: Majka Stribna i Peter Pujman, syn znanej w Polsce i nieżyjącej już pisarki. Są mili i życzliwi, z pewną jednak dozą, właściwą Czechom, rezerwy. Grześczak zna ich z poprzedniego swego pobytu w Pradze. Pakujemy się do trzech osobowych aut i jedziemy do hotelu „International".

Tu rozdział pokoi, kąpiel — oczywiście nie zbiorowa — i kto chce idzie na kolację, a komu wystarczył posiłek w samolocie — spać. Rano zwiedzamy Pragę.

Punktualnie o godz. 13.00 pisarze czechosłowaccy podejmują nas obiadem w sali klubu. Klub mieści się w dużym domu, siedzibie Związku Literatów, dziennikarzy, wydawnictwa i prasy stołecznej. Taki koncern piśmienniczy, gdzie wszystko jest skoordynowane i scentralizowane. Tu można napisać książkę, wydać ją, rozreklamować, zaadresować do odpowiedniego czytelnika i później omówić ją z adresatem. Mało — można tu jeszcze wznowić nakład, bowiem wydawnictwo interesuje się nie tylko ustaleniem wysokości nakładu, ale również przyczynami rozchodzenia się czy nie rozchodzenia książki. Wysprzedanie książki powoduje natychmiastowy dopływ do księgarni dalszych egzemplarzy, które nie zalegają miesiącami czy nawet latami magazynów przy równoczesnym ich braku w domach książki. Czytelnik nie musi zgłaszać swoich petycji w sprawie książki, której nakład nie został wyczerpany; sam fakt odpływu jakiejś pozycji powoduje dopływ. Związek Literatów przez swoje wydawnictwa czuwa nad właściwą pracą kolportażu, stąd też nakłady są o wiele wyższe niż u nas. Na przykład debiuty poetyckie nie ukazują się na ogół w mniejszych nakładach niż 3—5 tys. egz., zaś pozycje poetów starych (żyjących) sięgają nawet 20 tys. egz. Klub miłośników poezji liczy 25 tys. członków, członkowie płacą regularne składki i otrzymują za to tomiki poezji.

Widzieliśmy pięknie wydane książki z wierszami Seiferta, Nezvala i Majakowskiego, nagraniami na płytach utworów tych poetów w recytacji wtórnej, aktorskiej lub mieszanej. Nakład 25 tys. egz. oddany został członkom klubu poezji, zostało jeszcze trochę dla „przygodnego" czytelnika. To jest akcja godna naśladowania. Być może i u nas dałoby się coś takiego przeprowadzić. W każdym razie warto się nad tym zastanowić! Pisarze w CSRS nie tyle walczą o wznowienie nakładu, co o jego wysokość, gdyż stawki autorskie zwiększają się proporcjonalnie do wyżej ustalonego nakładu.

Otóż obiad smakował nam. Były także przemówienia i toasty, a ponieważ były toasty, musiało być wino. Czesi piją umiarkowanie i bez zbytniego entuzjazmu. Przy nas jednak nieco rozgrzewają się, stają się bardziej rozmowni i nawet zaczynają opowiadać kawały. Duży sukces. Obok mnie siedzi Jan Pilarz, tłumacz i dyrektor wydawnictwa pisarzy czechosłowackich; jest wesoły i opowiada dowcip z Polski, którego nie znam czy może zapomniałem. Dość, że śmiejemy się serdecznie. Sekretarz związku również śmieje się, ale zdaje mi się, że już znał ten kawał.

Dowiadujemy się, że związek pisarzy CSRS liczy około pięciuset kilkudziesięciu członków z czego mniej więcej trzystu to Czesi i ponad dwustu to Słowacy.

Przy kawie, w kuluarach oglądamy numery miesięcznika „Plamen", liczącego ponad 150 stron druku o formacie nieco większym niż nasza „Twórczość". Pismo to, o charakterze literackim, ma ładną oprawę graficzną, zdjęcia obrazów, fotografii, karykatury; dział poezji, prozy, krytyki, plastyki i teatru. Jest pismem młodych, których wiek jest równie jak u nas dość rozciągliwy.

Wieczorem „Laterna magika". Idziemy prawie wszyscy, ale wszyscy wychodzimy oddychając z ulgą wieczornym i czystym powietrzem. Połączenie filmu z teatrem, właściwie jakiejś kiepskiej rewii ze sztuczkami montażowymi, nie wypada pomyślnie dla żadnej z wciągniętej do tej zabawy muz. Należy tu tylko podziwiać pomysłowość trików montażowych i... postęp techniczny. Podziwiamy więc, ale idziemy spać. Sen krzepi, sen to relaks, szczególnie po tak męczącym dniu.

Nazajutrz nasi czescy przewodnicy wiozą nas autokarem do Dobżiszi, domu wypoczynkowego i w pewnym sensie rezydencji Związku Literatów. Zaiste imponujący jest ten dom: duży dwuskrzydłowy pałac w stylu renesansowym, otoczony pięknym i rozległym parkiem. Tu zaczynamy nasze boje o literaturę. Zasiadamy w stylowych fotelach, przy stylowych stolikach, patrzymy przez stylowe okna i pijąc kawę myślimy: oto siedziba godna książąt; tak sobie myślimy pijąc kawę, lecz oto głos zabiera prezes gospodarzy i okazuje się, że po kilku zdaniach już wszystko rozumiemy. Tłumacz okazał się zbędny, nie zraża się jednak tym (tłumacz) bo za chwilę będzie mówił, tak jak jego przedmówca, o literaturze czeskosłowackiej. Słuchamy pilnie, pijąc kawę i mobilizujemy się do zabrania głosu w dyskusji. Czynimy to, później znów gospodarze, później ...ale to miał być bój, więc idziemy na udeptaną ziemię. Walczymy do pierwszej krwi. Oczywiście nie dzielą nas różnice narodowościowe tylko światopoglądowe: dlatego też Tadeusz Nowak, Trefulka i ja zawzięcie atakujemy Herberta, Pujmana i Majkę Stribną. Piłka groźnie przelatuje nad siatką i odbita wraca lub upada z piekielną siłą ścięta przez któregoś z walczących. A oto i pierwsza krew: robinsonując do, wydawałoby się nieodpartego, argumentu, natrafiłem ręką na ostry kamień i choć chciałem to ukryć, krew spłynęła po mej dłoni. Trudno. Przegraliśmy. Idziemy na kolację, pogodzeni z losem i między sobą.

Nasi na obczyźnie są mili. Naprawdę! Proszę się zresztą zapytać Kajdara, młodego ale z pokaźnym brzuszkiem poety z Pragi. On by powiedział: „Przy długim stole siedzieliśmy „społecne", a była to „beseda" nad „besedu", bo rozmawialiśmy o rzeczach wzniosłych a pięknych, wypijając od czasu do czasu zdrowie literatury. „A z żoną moją — powiedziałby Kajdar — grał w szachy Lenart a Łoboda, a my im umilali czas śpiewem, podając wodę sodową a taką niesodowaną". Tak by powiedział. Proszę zapytać!

Ale niebawem posmutnieliśmy nieco. Autobus! Zmora naszego pobytu! Więcej niż połowę czasu spędziliśmy w autobusie. A dziś... dziewięć bitych godzin do Ostrawy. Zmęczeni, głodni i niezbyt czyści wkraczamy na salę. Tu już od dwóch godzin czeka na nas cała literatura i aktyw kulturalny. W dwóch długich rzędach siedzą i czekają. Dwa szczelnie po obu stronach obsadzone stoły zamyka ten prezydialny. Wchodzimy, dostajemy kwiaty, czytają nasze „życiorysy", kłaniamy się, siedzimy; oni mówią, opowiadają, pytają. Jesteśmy zmęczeni i brudni. Pijemy wodę i kawę. Przecieramy oczy. Mówimy, mówimy, ale czujemy, że głos pada tuż obok nas, a sala jest ogromna. Polscy pisarze z Zaolzia pytają, pytają, pytają. Jesteśmy potwornie zmęczeni. Odpowiadamy. Dają nam swoje książki, podpisują, bierzemy, mamy brudne ręce. W Opawie już lżej. Wymyci i po późnej, ale kolacji, przy winie, kameralnie — jesteśmy bliżsi sobie dosłownie i w przenośni. Wyjeżdżamy z żalem, żal nasz jest niezbyt precyzyjny; może wywołały go te rzewne pieśni góralskie, które śpiewaliśmy razem z gospodarzami, a może piękny smutek w oczach Jasiczka?

Dobrnęliśmy do Brna. Powiało na nas zapachem uczelni; Kraków nam się jakoś narzucił, i jego poetycka powaga. Jest nam tu dobrze. Siedzimy w fotelach, nastrój intymny i rodzinny, rzec by można. Nalewają wina. Patrzymy przez czerwony płyn i wszystko różowieje. Otóż i toast, pierwszy i niezbyt giętki oraz odpowiedź z naszej strony. Jesteśmy jednak pewni, że to jeszcze nie to, że to... dopiero przyjdzie. Otóż i są: Wchodzi... czy mnie wzrok nie myli? Adam Tarn? Nie, to... Kroupe, tłumacz z francuskiego i angielskiego, dyrektor Galerii Brneńskiej, z świetnie mówiącą po polsku żoną, przemiłą i rozumną kobietą. Za nimi Oldrich Mikulaszek, chluba i ozdoba poezji czechosłowackiej. On to wznosi toast głęboki w treści, dowcipny i poetycki, robi to z wdziękiem i swobodą. Wypchnięty i sterroryzowany przez kolegów odpowiadam mu, czując jak mało zdołałem wypowiedzieć z tego, co czułem, a byłem już po kilku kieliszkach wina. Nastrój pocieplał zupełnie. Pani Kroupowa pięknie mówiła o poezji, a Mikulaszek z Milanem Uhde spierali się nieco w powyższej materii. Ivan Križ, Trifulka i Skacel dolewali a pili, dyskutując również gorąco. Rozdzieliła nas północ; świt (około godz. 9) znów nas połączył, a zachwyciła nas Galeria w Brnie. Przemierzyliśmy własnonożnie czas od XII w. aż po współczesność. Sztuka orientalna — dużo ceramiki i rzeźby — malarstwo, grafika i wreszcie bardzo chlubny okres w historii sztuki czechosłowackiej — początek dwudziestego wieku: Filla, Zrdzawy, Capek (brat pisarza) Cichla, Stikla i Kral. Rozwój tego ostatniego był niesłychanie interesujący: przez formy kubizując, abstrakcję doszedł (lata międzywojenne) do konwencji prawie klasycznej i dalej do realizmu, który można nazwać socjalistycznym, ze względu na treść i czytelność, gdyby nie jakieś niezwykle sugestywne i przetwarzające pulsowanie i promieniowanie — gdzieś z głębi obrazów— surrealistycznego widzenia. Dwa znakomite obrazy Capka wiszą w tej galerii, kilka Stikla, Filla i Zrdzawy. Wydaje się, że ówczesne malarstwo czechosłowackie mogło być wysoko notowane w Europie.

Ze współczesnych Doleżalowa przypadła mi do serca. W Pradze jest również salon malarstwa młodych. Niektóre prace wydawały mi się interesujące. Brno wydaje pismo, chyba ciekawe treściowo i graficznie: „host do domu"; („Gość do domu" — „Gość w domu"). Tu króluje Mikula utrzymując swój harem na ścianie. Jest to galeria piękności filmowych, wycięta z pism ilustrowanych. Niektóre są dość skąpo ubrane. Jego żona nie wygląda na zazdrosną z tego powodu, zresztą z kobietami nigdy nie wiadomo. ...Mikulaszek, mimo swoich pięćdziesięciu lat, ma zaledwie dziewięcioletniego syna. Pijemy zdrowie naszych dziewięcioletnich synów i ściskamy się serdecznie. Piękna i młoda pani Mikulaszkowa pobłażliwie na nas spogląda. Pijemy więc i jej zdrowie. „Hos do domu", ale i host z domu. Do widzenia, do widzenia...

Bratysława jest małym Wiedniem, Wiedeń jest małym Paryżem. Tych małych Wiedniów i małych Paryżów jest kilka w Europie; widać, że stolica Francji jest tak bogata i różnorodna, że może kilka innych miast obdzielić swoimi cechami. Bratysława ma bulwary, ma piękne i eleganckie kobiety i jakąś lekkość, której gdzie indziej zbyt wiele nie zauważyłem. Tu podczas „besedy" (jest to coś w rodzaju spotkania towarzyskiego z przewidzianą dyskusją) powiedziano nam: róbcie wszystko, co chcecie, tylko błagamy, nie zburzcie Bratysławy, bo to kochane miasto. Nie zburzyliśmy Bratysławy, polubiliśmy ją nawet bardzo.

Cały czas naszego pobytu tonął w słońcu. W Bratysławie jednak pozimniało i zaczął padać deszcz. Musieliśmy zatem zrezygnować z wyjazdu w Tatry, i wrócić do Pragi. Tym razem zamieszkaliśmy w hotelu „Ambasador", dużym, wygodnym, ale secesyjnym. Mieszkaliśmy po dwóch lub trzech. Do mego żelaznego sublokatora Herberta doszlusował Nowak, który nagle i niespodzieliśmy go różnymi domowymi wanie zapadł na grypę. Leczymetodami, która z nich okazała się skuteczną, nie jesteśmy pewni, ale przypuszczamy, że chyba ta mieszanka ziołowa na spirytusie polskim, który przyniósł nam młody tłumacz praski.

Końcowy okres praski był czasem wystaw malarskich, muzeów i teatrów. W Teatrzyku poezji na „Zabratli" widzieliśmy dwa programy nie odbiegające zbytnio od naszych tego typu spektakli. Proste dekoracje o dużej umowności, kostiumy w tym samym tonie, no i wiersze. Byliśmy już na tyle ostukani w języku, że rozumieliśmy treść wierszy i czuliśmy ich nośność poetycką w mówieniu. Trzeba przyznać, że w dobrej interpretacji aktorskiej, a z małymi wyjątkami była dobra, teatrzyk spełnia swoją rolę propagatora współczesnej poezji. Sztuki konwencjonalne z przejrzystą fabułą i moralem miały tę zaletę, że nie wymagały pełnej koncentracji przez wszystkie akty; wystarczyło uważać przez ostatni, a przyczyny rozwijające się w poprzednich były oczywiste i możliwe do zrekonstruowania w oparciu o klasyczne kanony logiki. Widzieliśmy także dwie sztuki autorów czeskich. Niestety jest to tylko drobny wycinek, który nie dał nam właściwego pojęcia o dramaturgii czechosłowackiej. Na cmentarzu żydowskim w Pradze odwiedziliśmy grób Kafki: jest skromny i niezbyt wypielęgnowany.

W ostatnim dniu naszego pobytu podjęto nas lampką wina w ambasadzie polskiej w Pradze. Nastrój był miły i wymieniliśmy nasze uwagi i spostrzeżenia na temat współpracy pisarzy polskich z czechosłowackimi.

I oto znów lotnisko. Nasi gospodarze naprawdę są wzruszeni i szczerze zachęcają nas do ponownych odwiedzin; a my naprawdę z żalem odlatujemy, obiecując, że niedługo znów się zobaczymy. Piszcie, wołają. Napiszemy — mówimy.

W XVII ROCZNICĘ WYZWOLENIA ŁODZI

Dokończenie ze str. 1

ośrodków naukowych w Polsce, miastem wyższych uczelni, studentów i młodzieży. Pod tym względem jest to miasto młode, jedno z najmłodszych. Gdy więc chodzę po ulicach Łodzi i patrzę na nowe domy, nowoczesne, i na te, które jeszcze przypominają stary świat i stare życie, rozmawiam z ludźmi i zastanawiam się, jaka jest najbardziej charakterystyczna cecha tego miasta, nie mogę zapomnieć owego stycznia 1945 roku. Są chwile w życiu człowieka, które wywołują to, co jest w nim najlepszego. I właśnie od tego najlepszego pochodzi reszta. Łódź ma za sobą znane w Europie tradycje walk robotniczych o wyzwolenie społeczne; ma tradycje politycznej ofiarności. To jest owo najlepsze, od niego pochodzi udział łodzian w pracy nad pomnażaniem dochodu narodowego i udział w czynach społecznych, a więc jeden z elementów współczesnego patriotyzmu — dobra praca. Kroniki roku 1945 notują nazwiska robotników, którzy nie wołani stanęli do pracy, kiedy jeszcze wokół Łodzi grzmiały działa. Oto pierwsze z brzegu noty: „Jednymi z pierwszych, którzy stawili się na teren fabryczny w zakładach J. I. Poznański, którzy bronili ich przed rabunkiem, byli peperowcy Gałek, Gelent i Bartoszek". „Dwaj robotnicy, członek PPR Brzychcy, i członek PPS Czapski podczas zamieszania, gdy uciekli już Niemcy, a nie wkroczyły jeszcze wojska radzieckie, zamknęli bramę fabryczną, chroniąc i zabezpieczając maszyny". Nazwisk i podobnych faktów jest setki. To są pierwsi siewcy nowego życia. Jakże im się nie pokłonić teraz, gdy to nowe życie rozwija się coraz bardziej? Jak można uczcić najlepiej rocznicę wyzwolenia niż kłaniając się w pas, po staropolsku, budowniczym tego miasta?

TADEUSZ PAPIER

17–18 stycznia 1962 sesja „Łódź w świetle badań naukowych"

Dziejopisarze

Na podstawie referatów: prof. dr. Gryzeldy Missalowej, doc. dr. Pawła Korca, dr. Józefa Kądzielskiego, doc. dr. Władysława Holtzmana, prof. dr. Edwarda Rosseta, prof. dr. Roberta Rembielińskiego, prof. dr. Witolda Chitruka oraz wypowiedzi prof. dr. Jana Szczepańskiego — opracował Julian Brysz.

* * *

Odeszli w przeszłość staroświeccy kronikarze. Aktualnie dzieje miasta pisze nauka, uzbrojona w metody badawcze, dysponująca specjalistami w każdej dziedzinie. Sztab nauki obraduje — dziś drugi dzień sesji „Łódź w świetle badań naukowych".

Powstanie i rozwój wyższych uczelni w Łodzi spowodowały, że miasto nasze stało się nie tylko terenem, lecz także i przede wszystkim przedmiotem badań naukowych, które wcześniej, z natury rzeczy były bardzo ograniczone. Trwająca sesja podsumowuje wyniki badań nad przeszłością, współczesnością i prognozami na przyszłość Łodzi.

Z przygotowanych na sesję referatów pozwoliliśmy sobie wybrać niektóre, szczególnie cenne, a przy tym mało dotychczas spopularyzowane sądy naszych współczesnych „kronikarzy". Czytelnik ma w czym wybierać wedle własnych zainteresowań.

O doniosłości i znaczeniu sesji mówi prof. dr Jan Szczepański

Jak powiada Stefan Żółkiewski Polska jest typowym krajem surrealistycznym. W roku 1959 wydano u nas na badania archeologiczne kilka milionów złotych, zaś na badania nad współczesnością — kilkaset tysięcy.

Nikt nie kwestionuje wartości i celowości badań archeologicznych. Ale w kraju gospodarki planowej te proporcje powinny być odwrócone, z tej przyczyny, że bez dokładnej wiedzy o współczesności, planowanie w pewien sposób wisi w próżni.

Sesja stanowi podsumowanie badań nad współczesną Łodzią, a wyniki tych badań rzucają światło na wiele spraw, istotnych dla całego kraju.

Tak się bowiem składa, że w Łodzi przełamuje się, i to szczególnie ostro, wiele problemów na skalę krajową — industrializacja, postęp techniczny, zagadnienia kultury, rozwoju służby zdrowia, że wymienię tylko niektóre.

To, co się zmienia w Łodzi, jest dobrą miarą dla postępu całego kraju. Przywołując na pomoc metaforę: w roku 1945 Łódź była jednym wielkim rezerwuarem niezaspokojonych potrzeb w dziedzinie komunalnej, kulturalnej, oświatowej, naukowej i innych. Łódź posiadała największy odsetek nieskanalizowanych mieszkań jednoizbowych, najmniej wodociągów, najwięcej niebrukowanych ulic, bardzo cienką warstwę inteligencji, odczuwała brak wyższych uczelni, ośrodków badawczych techniki, itp.

Badania nad Łodzią, pokazujące w jakim tempie ten rezerwuar potrzeb był zapełniany, są wskaźnikiem postępu, osiąganego przez cały kraj.

Inne wielkie miasta rozwijały się w ciągu setek lat jako ośrodki administracyjno-polityczne, kulturalne i gospodarcze. Inaczej Łódź — miasto wyrosłe w niesłychanie krótkim czasie „na drożdżach" kapitalizmu, miasto o skrajnie jednostronnym profilu, z niedowładem wielu funkcji, w tym także oświatowo-kulturalnej. Początkowo działały tzw. warunki obiektywne, później jednak władze carskie i Polski przedwrześniowej stosowały celową politykę, zmierzając do utrzymania proletariackiego miasta w upośledzeniu i zacofaniu kulturalnym.

Dość wspomnieć, że w drugim co do wielkości mieście kraju w okresie 20-lecia międzywojennego istniały tylko szkoły średnie z liczbą nieco ponad tysiąc uczniów.

A jednak Łódź nigdy nie pozwoliła się zepchnąć do roli „pustyni kulturalnej". Działały tu dwa czynniki — po pierwsze: spontaniczny pęd mas robotniczych do oświaty. Przypomnijmy, że Łódź była pierwszym miastem byłej Kongresówki, którego władze uchwaliły i zrealizowały program powszechności oświaty elementarnej. Po drugie: wyjątkowo prężna inicjatywa samorządowa i społeczna, która w znacznej mierze wypełniła lukę, powstałą skutkiem braku zainteresowania władz państwowych. To właśnie zasługą socjalistycznej Rady Miejskiej, która udzieliła subwencji, był fakt otrzymania przez Łódź namiastki co prawda, ale wyższej uczelni (Wolna Wszechnica Polska).

„Czy pustynia kulturalna"?

Jednak jeszcze coś więcej decyduje o obliczu kulturalnym dawnej Łodzi. Brak silnych tradycyjnych środowisk i instytucji kulturalnych ułatwiał pojawienie się w Łodzi postępowych i nowatorskich kierunków w życiu kulturalno-oświatowym.

Podobną specyfikę można zaobserwować w dziedzinie sztuki, teatru, literatury, itp. dawnej Łodzi. Brak silnych tradycyjnych środowisk i instytucji kulturalnych ułatwiał pojawienie się w Łodzi postępowych i nowatorskich kierunków w życiu kulturalno-oświatowym.

Wolna Wszechnica Polska pod względem składu społecznego jej studentów, oblicza znacznej części profesury i ogólnej atmosfery politycznej różniła się zdecydowanie od „normalnych" wyższych uczelni.

Od początku XX wieku kierownicy teatrów pod wpływem robotniczej części widowni wystawiali często sztuki Gorkiego, Hauptmana, Schillera. Tę tradycję swego rodzaju trybuny rewolucyjnej zachował teatr łódzki w późniejszych latach pod dyrekcją Zelwerowicza, a także w okresie międzywojennym. Nie drogą przypadku Witold Wandurski właśnie w Łodzi zorganizował swoją Scenę Robotniczą. Ona, jak i inne robotnicze teatry amatorskie, odgrywała dużą rolę w życiu kulturalnym międzywojennej Łodzi.

Nagroda kulturalna miasta przypadała ludziom związanym z obozem postępu, którzy w ówczesnych warunkach nigdzie indziej nie mogliby uzyskać zaszczytnego wyróżnienia (Julian Tuwim, Andrzej Strug, Władysław Strzemiński).

Mimo zrozumiałych zaniedbań, tradycje kulturalne Łodzi nie są tak ubogie, jak z przyzwyczajenia zwykliśmy twierdzić. Mówiąc o burzliwym rozwoju kultury w okresie powojennym nie wolno jednak przy tej okazji Łodzi lat dawnych określić mianem „pustyni kulturalnej".

STARA ŁÓDŹ

Nie będzie nas milion

Łódź nie ucierpiała w czasie wojny? Wprost przeciwnie, targnęły nią wielkie, choć dziś już niedostrzegalne zniszczenia. Skutki wojny najlepiej bodaj są dostrzegalne w ruchu ludności. W tym wypadku naszym dziejopisem staje się specjalista-demograf.

W roku 1939 było nas 680

tysięcy, w sześć lat później w tych samych granicach pozostało zaledwie 250 tysięcy mieszkańców.

Co się stało z resztą?

270 tysięcy łodzian straciło życie w czasie wojny, wśród nich 240 tysięcy było ludności pochodzenia żydowskiego.

160 tysięcy ludzi rozpierzchło się podczas wojennej wędrówki ludów. Z nich 60 tysięcy nie powróciło już nigdy do rodzinnego miasta — połowa osiedliła się na ziemiach zachodnich, połowa — w innych regionach kraju.

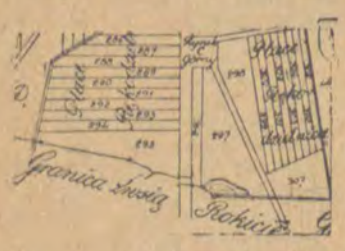

Kto jednak mógł, wracał, manifestując tym przywiązanie i cenny „lokalny patriotyzm".

Spis ludności z roku 1950 wykazał w mieście 64 procent ludności „rdzennej" (urodzeni w Łodzi przed wojną oraz ich potomstwo). Liczebnie stanowiło to niemal dokładnie 400 tysięcy osób.

Młode nasze miasto powstało drogą imigracji. Toteż z tradycji nigdy nie żywiono tu niechęci do „obcych". Tak stało się również po ostatniej wojnie. Przybysze, choć stanowili tak znaczny procent, szybko zdołali się zaaklimatyzować. Dziś nikt już ich nie odróżni od rdzennych „łodziaków".

Jako zbiorowość ludzka, charakteryzujemy się współcześnie znacznym przedłużeniem przeciętnego trwania życia (dla mężczyzn — 62 lata, dla kobiet — 68 lat). By podkreślić, jak wiele to znaczy, wspomnijmy tylko, że w ciągu najbliższych lat dwudziestu ilość emerytów w Łodzi podwoi się. To zjawisko, a także spadek śmiertelności noworodków, wreszcie również napływ nowych mieszkańców (około 1000 osób rocznie) sprawią, że ludność Łodzi będzie nadal szybko wzrastać, by w 1980 roku zamykać się już liczbą 800 tysięcy mieszkańców. Ale to jest maksymalny stan ludności, na jaki można sobie w warunkach Łodzi pozwolić.

No cóż, nie będziemy nigdy miastem „milionowym". Mielibyśmy może z tego satysfakcję, ale przyszłoby cierpieć wszelkie niewygody „kolosa". Lepiej więc bez ambicji, ale stopniowo coraz wygodniej.

Pod szkiełkiem ekonomisty

Z punktu widzenia ekonomisty Łódź jest największym w Europie środkowej centrum włókiennictwa, co stanowi efekt jednokierunkowego rozwoju miasta przemysłu.

Lokalizacja Łodzi okazała się pomyłką. Woda — najważniejszy dla tego przemysłu warunek lokalizacji — została wyczerpana w zasadzie u zarania rozwoju miasta. Jak rozwiązać definitywnie kwestię zapotrzebowania na wodę, skoro np. fabryka bawełniana z własną wykończalnią, produkująca 20 mln metrów tkanin rocznie, zużywa 2.5 miliona m^3 wody, czyli tyle, ile wynoszą potrzeby całego miasta o 50 tysiącach mieszkańców.

Niekorzystne jest położenie Łodzi z uwagi na oddalenie od szlaków komunikacyjnych — sieci dróg, kolei, a przede wszystkim żeglownej arterii wodnej. Przemysł lekki nie wymaga rozbudowy komunikacji, gdyż transport surowców gotowych produktów jest stosunkowo łatwy. Sytuacja ulegnie zmianie dopiero wtedy, gdy w oparciu o odkryte w naszym regionie surowce powstanie tu przemysł ciężki.

W stosunku do ilości ludności wskaźnik zatrudnienia w przemyśle jest tu o połowę wyższy niż w całym kraju. Duże możliwości pracy dla kobiet powodują, że ilość kobiet w stosunku do ilości mężczyzn ma się w naszym mieście jak 115 do 100 (przeciętnie jest za dużo, a zważmy, że do roku 1975 przemysł włókienniczy będzie zatrudniał 12 procent mniej kobiet niż obecnie (z uwagi na modernizację).

Liczy się na wzrost zatrudnienia kobiet w handlu i usługach, liczy się również, że wzrastające zarobki mężczyzn w rozwijającym się przemyśle metalowym i chemicznym — „odciągną" część kobiet od konieczności zarobkowania. Jednak kwestia precyzyjnego zaplanowania przyszłych miejsc pracy nie jest jeszcze dziś dokładnie rozstrzygnięta, pracują nad nią gorączkowo łódzcy ekonomiści — naukowcy i praktycy.

Pokazujemy tu zresztą tylko bardzo wąski wycinek spraw ekonomicznych, które przewijają się „gęsto" na sesji.

Dlaczego właśnie tu?

Aktualne granice łódzkiego okręgu przemysłowego nie pokrywają się z granicami żadnej jednostki terytorialnej ani administracyjnej Polski przedrozbiorowej. Przemysł „wykroił" dla siebie po kawałku łęczyckiego, sieradzkiego i Mazowsza. Dlaczego stało się właśnie tak?

Do roku 1815 największym ośrodkiem przemysłu, w tym również sukiennictwa, była Wielkopolska, która weszła następnie do zaboru pruskiego i z czasem została odcięta niemal całkowicie tzw. barierą celną.

Rolę Wielkopolski przejęły w sukiennictwie głównie Kalisz z okolicami oraz Zgierz i Tomaszów. Po roku 1830 przemysł wełniany zaczął gwałtownie podupadać, zaś rozkwitł przemysł bawełniany a z nim miasta: Aleksandrów, Konstantynów, Ozorków, Łódź, Pabianice, Brzeziny, Zduńska Wola — tworzące ściśle powiązany zespół.

Jednak łódzki okręg przemysłowy w dzisiejszych granicach ukształtował się dopiero wyraźnie w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, w toku rewolucji przemysłowej i przejścia do najwyższej formy produkcji kapitalistycznej — do fabryki.

W roku 1869 przemysł okręgu dał aż 98 procent produkcji krajowej przędzy bawełnianej i 75 procent tkanin. W latach 1820-1860 ludność Łodzi wzrosła sześćdziesięciokrotnie.

Wreszcie po wielu latach dźwignął się z upadku przemysł wełniany. W ten sposób zakończyło się formowanie okręgu. Przemysł włókienniczy „upodobał sobie" ten właśnie obszar w następstwie wielu przemian politycznych, a głównie — ekonomicznych, drogą eliminowania innych regionów ówczesnego Królestwa Kongresowego.

Nie decydowały tu bynajmniej — jak się często przypuszcza — wyłącznie zasoby wody, która zresztą szybko wyschła.

Łodzi

17–18 stycznia 1962 sesja „Łódź w świetle badań naukowych"

RODOWÓD WALKI

Od zarania rozwój Łodzi był wyłącznie funkcją rozwoju przemysłu. W „starych" miastach obok powstającej burżuazji i proletariatu, silnie były reprezentowane warstwy pośrednie. Wpływowa inteligencja, nierzadko też aparat sądowy odgrywały rolę „buforów" między ścierającymi się, nowymi klasami.

W Łodzi tych „buforów" nie było. Antagoniści stanęli oko w oko, walka stała się bezwzględna i ostra, nic nie łagodziło jej brutalności, nie zaćmiewało jej wyrazistości.

Na domiar złego — problem narodowy. Wielcy przemysłowcy i znaczna część personelu technicznego to cu-

dzoziemcy, którzy odnosili się do robotników jak kolonizatorzy do tubylców. Ponadto — rola zaborcy, stającego zawsze po stronie interesów sfer kapitalistycznych przeciw proletariatowi.

Stąd Łódź od wczesnych dziesiątków lat drugiej połowy ubiegłego stulecia stała się „węzłowym odcinkiem" frontu rewolucyjnego. Tę jej rolę umacniał również fakt, że była największym ośrodkiem przemysłowym w Polsce. Jeszcze na początku XX wieku na każdych stu robotników w kraju — 51 pracowało w przemyśle włókienniczym, a z tego przeważająca większość w Łodzi i okręgu. Już w Polsce niepodległej, po I wojnie światowej, na Łódź z okręgiem przypada 20 procent wszystkich robotników zatrudnionych w przemyśle.

Nie będzie przesady, jeśli stwierdzimy, że historia kapitalizmu w Polsce i historia Łodzi — to określenia niemal synonimiczne.

Zrozumiałe jest teraz dla nas nie spotykanie nigdzie indziej napięcie walk rewolucyjnych proletariatu, co było uwarunkowane taką mnogością przyczyn.

Właśnie w Łodzi od początku przyjęła się tradycja obchodów święta 1 Maja. Tu już w 1879 roku Julian Marchlewski dostrzegł główną bazę społeczną dla założonego przezeń Związku Robotników Polskich.

Tu nastąpił pierwszy w imperium carskim strajk powszechny znany pod nazwą „buntu łódzkiego" (1892). Strajki o takim stopniu nasileni. były wówczas rzadkością nawet w Europie zachodniej.

W latach rewolucji 1905-7 gubernia piotrkowska znajduje się stale na I miejscu pod względem ilości strajków wśród wszystkich guberni imperium carskiego.

Prymat Łodzi zachował się również w przedwojennej Polsce. Jak obliczają historycy, w latach 1921-28 strajkowało w całej Polsce około 3,3 miliona robotników, z czego na przemysł włókienniczy przypadło 1,1 miliona robotników. Strajki były tu bardziej uporczywe i długotrwałe, niż gdziekolwiek indziej.

Prasa często przypomina fakty z dziejów ruchu rewolucyjnego w Łodzi. Jednak przywołując je z przeszłości, trzeba mieć stale na uwadze cały skomplikowany splot przyczyn. Dopiero wówczas sprawa może być w pełni zrozumiała.

Charakterystyczne, że w Łodzi, w ogniu walki, zacierały się różnice doktrynalne między ugrupowaniami lewicowymi, cały czas odżywały tendencje jednolitofrontowe, niejednokrotnie wbrew centralnym władzom stronnictw.

W czasie wyborów sejmowych roku 1922 lista komunistyczna uzyskała 14 tysięcy głosów, a lista PPS — 19 tysięcy. Taki stosunek sił i wpływów utrzymał się przez

dług'e lata. Kiedy po raz pierwszy doszło do formalnej umowy o współdziałaniu i do bloku wyborczego stronictw lewicy, wybory samorządowe w Łodzi w roku 1936 zakończyły się wspaniałym zwycięstwem jednolitego frontu. Sukces powtórzono w roku 1938. W ten sposób w warunkach ofensywy faszyzmu w całej Polsce, w Łodzi klasa robotnicza potrafiła utrzymać władzę w Radzie Miejskiej aż do wybuchu II wojny światowej.

Taka jest Łódź walki.

Lekarze łódzcy położyli niemałe zasługi na polu walki z przemysłowymi chorobami zawodowymi. Już w 1889 roku dr Seweryn Sterling założył w Łodzi „Czasopismo lekarskie", które wiele miejsca poświęciło tym zagadnieniom. Dzięki „Czasopismu" i artykułom w periodykach warszawskich, w miejscowej prasie codziennej itp. zebrało się wiele materiałów, charakteryzujących ówczesną sytuację zdrowotną ludności Łodzi, rozwój i potrzeby placówek leczniczych.

Duże zasługi przypadają także założycielom Towarzystwa Lekarzy m. Łodzi (1886) — Lohrerowi, Jonscherowi, Kolińskiemu, Likiernikowi i Rundo. W swoich pracach lekarze badali szkodliwe dla zdrowia warunki pracy robotników, zatrudnionych w przędzalniach, tkalniach, apreturze i farbiarniach.

Dzięki lekarzom łódzkim, a w szczególności inicjatywie prof. dr Emila Palucha udało się w Łodzi po roku 1945 zorganizować Instytut Medycyny Pracy, który pozostaje do dziś jedną z dwóch tylko takich placówek w przemyśle krajowym.

*

Bardzo silny związek z organizmem gospodarczym naszego miasta wykazuje Politechnika Łódzka, a w szczególności Wydział Włókienniczy, gdzie opracowano wiele nowych procesów technologicznych, skonstruowano nowe maszyny włókiennicze, itp. Postęp techniczny w budownictwie w oparciu o badania regionalnych złóż surowców budowlanych, rozwój zakładów prefabrykacji i uprzemysłowienie, jest tematem studiów na Wydziale Budownictwa. Pracownikom Wydziału Mechanicznego zawdzięczamy opracowanie konstrukcji silników „Warszawy" i „Stara-20" oraz podwozi „Stara" i autobusu „SAN".

NOWA ŁÓDŹ

Fot. E. Kudaj

Nowe światło na nasze pochodzenie

Szowinistyczna historiografia niemiecka przez długie lata usiłowała nam narzucić tezę o niemieckim pochodzeniu klasy robotniczej Łodzi i okręgu. Przyjęło się nawet w Polsce twierdzenie znanego historyka G. Schmollera, że emigracja do przemysłu okręgu objęło około ćwierć miliona osób.

Rewizję tych tez, które zapanowały nie tylko w nauce, lecz także w świadomości społecznej, podjęli po wojnie historycy z Uniwersytetu Łódzkiego.

Mimo zahamowań, związanych z przypisaniem chłopa do ziemi (aż po rok 1864), od początku powstania przemysłu łódzkiego podstawowym i stałym źródłem „rekrutacji" klasy robotniczej była wieś i małe miasteczka Królestwa. Po roku 1816 masowo do kaliskiego i na Mazowsze napływali sukiennicy i tkacze z Wielkopolski, Ziemi Lubuskiej, Śląska i Pomorza. To oni właśnie liczeni byli przez historyków niemieckich jako „obcy", na równi z przybyszami z Saksonii i Czech, Szwajcarii, Anglii i Francji.

Bezwzględnie, obcy przybysze długo dominowali wśród kadry kwalifikowanej przemysłu. Jednakże jest wiele dowodów (choćby stosunek proletariatu do powstania styczniowego) na potwierdzenie polskości klasy robotniczej Łodzi.

Od strony socjologicznej Łódź jest dzisiaj najlepiej zbadanym miastem w Polsce. Podjęto wiele skomplikowanych problemów: rozwój szkolnictwa w Łodzi, struktura przestrzenna Łodzi w rozwoju historycznym, kontakty miasta z zapleczem, studium nad powstawaniem polskiej opinii publicznej w wielonarodowym mieście fabrycznym, struktura społeczna klasy robotniczej oraz struktura i pozycja inteligencji, zagadnienia struktury społeczno-przestrzennej miasta, życie kulturalne ludności Łodzi, stosunku ludności do rad narodowych i wyborów, oraz wiele innych. Niektóre z prac są już zakończone, inne trwają.

Jak korzystamy z instytucji kulturalnych?

W roku 1937 na tysiąc mieszkańców Łodzi przypadało zakupionych biletów: do teatru 73 (czwarte miejsce w kraju), do kina 1086 (pierwsze miejsce w kraju).

Te liczby odzwierciedlają prawidłowość — ludność Łodzi w porównaniu z innymi miastami najsłabiej korzystała z instytucji elitarnych (teatr,

filharmonia) zaś najżywiej z instytucji masowych.

W roku 1959 pod względem popularności teatru Łódź wysunęła się na II miejsce po Warszawie (133 bilety na 100 mieszkańców). W porównaniu z okresem przedwojennym zainteresowanie kinem wzrosło o połowę. Obserwowany wzrost zainteresowań jest tym cenniejszy, że doprowadził w poważnej mierze do zatarcia podziału na instytucje elitarne i masowe.

Jeśli trzymać się dawnego podziału, można stwierdzić, że w zakresie korzystania z instytucji elitarnych wyprzedzamy obecnie dość znacznie Wrocław i Poznań, choć pozostajemy w tyle za Warszawą i Krakowem.

Nie można jednak przymykać oczu na rażące wciąż jeszcze konsekwencje dawnego zacofania. Mamy ciągle niższy niż w innych miastach poziom wykształcenia ludności Jesteśmy dopiero na piątym miejscu pod względem ilości miejsc w kinach i teatrach na każdy tysiąc mieszkańców. Wyprzedzają nas pod tym względem wszystkie pozostałe wielkie miasta kraju. Mamy wciąż żenująco mały księgozbiór w bibliotekach publicznych.

To właśnie jest ów „rezerwuar potrzeb". Zapełnia się szybko, ale wciąż jeszcze się nie przelewa.

„Odgłosy" rozmawiają z prof. dr STEFANIĄ SKWARCZYŃSKĄ

Dalszy ciąg ze str. 2

ni uwierzy, że ja sama piękno współczesnej poezji uczyłam się poznawać od moich słuchaczy — młodych poetów? I proszę mi wierzyć, można do niej podejść intelektualnie i przeżyć ją estetycznie.

— Jak można wyrazić najkrócej całokształt pracy i osiągnięć kierowanej przez Panią Profesor Katedry U.Ł.?

— Katedra Teorii Literatury zajmuje się sztuką literacką, dramatyczną i filmową. Z interesujących Katedrę problemów naukowych wysuwają się na pierwszy plan problemy genologiczne czyli problemy rodzajów literackich. W okresie kilkuletniej naszej działalności (Katedra zamknięta w 1953 r. reaktywowana została po Październiku) opublikowaliśmy wiele książek i kilkadziesiąt prac naukowych. Pracownicy Katedry tj. doc. dr B. Lewicki, dr St. Kaszyński — adiunkt Katedry i asystenci: mgr J. Rozental, mgr T. Cieślikowska, mgr Pola Wert i mgr Z. Machwitz współpracują z międzynarodowym czasopismem naukowym „Zagadnienia Rodzajów Literackich" wydawanych przez Ł.T.N. Jestem redaktorem naczelnym tego pisma.

W ramach Katedry działa, oprócz Zakładu Teorii Literatury, również i Zakład Wiedzy o Filmie prowadzony przez doc. dr B. Lewickiego, utrzymujemy kontakty z Łódzkim Towarzystwem Naukowym, bierzemy udział w zjazdach naukowych ogólnopolskich i międzynarodowych, występujemy na nich z referatami itp. Współpracujemy również z zagranicznymi ośrodkami naukowymi, z Instytutem Badań Literackich PAN, Instytutem Sztuki PAN i z wieloma innymi instytucjami, których wyliczenie zabrałoby zbyt wiele miejsca w naszej rozmowie.

Z Katedry naszej wyszło wielu młodych i uzdolnionych naukowców, którzy otrzymali tu stopnie doktorskie, a teraz przygotowują prace habilitacyjne. Obecnie otwartych jest kilka przewodów doktorskich. Zasięg naszej pracy obejmuje również opiekę nad stypendystami. Np. teraz przy Katedrze pracuje stypendysta z Anglii, który interesuje się sprawami dramatu polskiego. Ten młody naukowiec, który studiował już w Paryżu i we Włoszech, jest pełen uznania dla teatru i filmu polskiego, dla współczesnej sztuki dramatycznej i literackiej naszego kraju. Pod względem ambicji intelektualnych, sposobu myślenia i stosunku do życia i otoczenia jest on typowym przedstawicielem dzisiejszej młodzieży intelektualnej, bardzo podobny do naszych słuchaczy — równie jak on rozmiłowanych w studiach, chłonnych wiedzy i pełnych zapału.

— Ach, gdyby wszyscy nauczyli się tak patrzeć na młodzież i tak o niej mówić...

— To naprawdę nic trudnego. Trzeba tylko pamiętać, iż w każdym z nas jest podwójny człowiek. I być może, zawsze wychodzi naprzeciw nas ten, którego oczekujemy, umożliwiając nam w naszej pracy wychowawczej oparcie się na realnych pozytywach.

Rozm. K. WYRZYKOWSKA

KRONIKA SKANDALICZNA

BARBARY RADZIWIŁŁOWNY

„DO OSTATNIEJ (XI) KOSZULI I CIAŁA"

W poprzednim felietonie pisałem, że szlachta, przeciwstawiająca się małżeństwu króla, nie ceregielowała się z Majestatem i mówiła Zygmuntowi Augustowi prosto z mostu, co o nim sądzi. Patetyczna scena w sejmie, gdy posłowie i senatorowie rzucili się na kolana błagając króla o „opuszczenie małżeństwa", wydaje się nam dzisiaj pełna przesady i egzaltacji. I słusznie, gdyż my, współcześni, przywykliśmy do panowania nad naszymi wzruszeniami i niechętnie ujawniamy nasze stany emocjonalne; jesteśmy powściągliwi, chłodni i rzeczowi. Tym właśnie między innymi różnimy się od ludzi Renesansu. Znakomity historyk kultury Johan Huizinga, którego dzieło „Jesień średniowiecza" ukazało się niedawno w przekładzie polskim, i który uważa Renesans (a więc czasy, w których rozgrywa się dramat Zygmunta Augusta i Barbary) za epokę przejściową, pomost między Średniowieczem a Oświeceniem, epokę kryjącą w sobie „stare średniowieczne i rodzące się świeże pierwiastki nowożytnego myślenia", tak charakteryzuje ludzi późnego Średniowiecza: „Dystans między cierpieniem i radością, między szczęściem i nieszczęściem wydawał się wówczas o wiele większy; wszystkie przeżycia posiadały ten stopień żywiołowości i wyłączności, jaki dziś radość i cierpienie osiągają jeszcze tylko w umyśle dziecka". I tu chyba znajdujemy klucz do wytłumaczenia sobie egzaltowanego zachowania się posłów i senatorów, padających w sejmie na kolana przed swym monarchą.

Nazajutrz wznowiono obrady w nieobecności posłów, przy udziale samych senatorów. Pierwszy przemawiał kanclerz koronny, ksiądz biskup Maciejowski, który w obronie małżeństwa królewskiego wysunął następujące argumenty:

1. Barbara jako pochodząca z książęcego rodu godna jest „łoża królewskiego i korony na głowę włożenia".

2. Królowi nie godzi się łamać przysięgi, gdyż może to ściągnąć gniew Boży na całe państwo.

3. Nie byłby król panem, tylko sługą, gdyby uległ woli posłów i senatorów.

4. Gdyby król dopuścił się raz krzywoprzysięstwa (przez złamanie wiary małżeńskiej i niedotrzymanie ślubowania), można by się obawiać, że nie skończyłoby się na tym, i że w innych sprawach monarcha również mógłby okazać się wiarołomny.

Po kanclerzu zabrał głos Zygmunt August, który powoływał się na to, że za zrządzeniem boskim „małżonkę sobie każdy wybiera, która mu się podoba", i król chciał tejże swobody „w obranie żony użyć". — To zaś już się odmienić nie może! — oświadczył stanowczo Zygmunt August.

— Małżonkę naszą opuścić? Tego nam uczynić niepodobna, bośmy Bogu i jej ślubowali.

Następnie zwracając się do biskupów Zygmunt August, znany ze swej zręczności dyplomatycznej, zaszachował ich nieodpartym argumentem: — wy, Duchowni, na tym stopniu jesteście postawieni, abyście strzegli, żeby król wasz przeciw sumieniu nie działał.

Wśród senatorów powstał szmer.

— Silentium! — monarcha nakazał ciszę i kontynuował: — Łatwo waszmoście zrozumieć możecie, że gdybym się odmienił jakąż byście wtenczas o mnie i o przysiędze mojej nadzieję powzięli. A tak do ostatniej koszuli i ciała odstąpić jej nie mogę, i co mi Bóg obiecał, przy tym zostawam.

Po tych słowach monarcha opuścił zebranie. Wprawdzie pierwszą rundę, i mówiąc językiem współczesnym, wygrał wysoko na punkty Zygmunt August, ale uparta Włoszka, królowa Bona nie myślała bynajmniej o ustąpieniu z pola walki. Przeciwnie, z tym większą energią przystąpiła do kontrataku i przy pomocy wiernego jej Kmity zaczęła podburzać w tej sprawie posłów przeciwko senatorom. W rezultacie tych intryg i zabiegów posłowie wysłali do senatorów delegację z protestem przeciwko chwiejności senatu. Zarzewie niesnasek zatliło się na nowo. Postanowiono na połączonym zgromadzeniu dwóch izb, poselskiej i senatorskiej, przypuścić nowy szturm na niewzruszoną wytrwałość monarchy. Dzień 14 listopada był dniem wielkiej próby w życiu króla Zygmunta Augusta. Spośród mówców, domagających się „opuszczenia nieprzyzwoitego małżeństwa", najenergiczniej występowali przeciwko królowi wojewoda krakowski Kmita, kasztelan i starosta poznański Jędrzej Grabia z Gorki oraz wojewoda brzeski Rafał Leszczyński.

Nie będę przytaczał ich argumentów. Oddaję głos historykowi z pierwszej połowy XIX wieku Michałowi Balińskiemu, który w ten sposób opisuje zamknięcie dramatycznych obrad obu połączonych izb: „co się stało, rzekł mocno i z powagą (król), to się odstać nie może, a waszmościom przystało nie o to prosić, abym żonie wiarę złamał, ale raczej o to, iżbych ją każdemu człowiekowi dochował".

Nieraz już dawałem wyraz podziwowi z powodu zręczności dyplomatycznej Zygmunta Augusta. Teraz wypadnie podziwiać również i jego — stałość.

„Przysiągłem żonie i nie odstąpię jej, póki ją Pan Bóg na świecie zachowa. Milsza zasię mi jest wiara moja, niż wszystkie królestwa na świecie". Oto władca z charakterem! „To rzekłszy August — pisze Baliński — poruszony nieugiętym uporem nasadzonych od matki prześladowców, opuścił izbę obrad niosąc ciężki żal w sercu i do sprawczyni swych trosków i do tych, co się tak skwapliwie dali jej powodować".

Dalszy ciąg królewskich perypetii w tej sprawie w następnym felietonie.

mówią CZY-TEL-NI-CY

Przed rokiem przeprowadziliśmy błyskawiczną ankietę wśród rzeczywistych i domniemanych czytelników pisma. Pytaliśmy: „Co Pan (Pani) sądzi o Odgłosach"? Wydawało się nie od rzeczy zbadać po wydaniu przeszło pięćdziesięciu następnych numerów, czy — i o ile — zmieniły się opinie po upływie dwunastu miesięcy.

Właściciel kiosku z gazetami przy ruchliwej ulicy odznacza się stałością poglądów:

— Kto by tam, Panie, miał czas wszystko czytać? Ale weź Pan, ludzie kupują, widać dobre.

Słowo w słowo jak przed rokiem...

— Halo, czy to Szkoła nr 115? Chcielibyśmy mówić z kierownikiem.

Niestety, kierownik, z którym rozmawialiśmy wówczas, przebywa na urlopie zdrowotnym. Zastępuje go obecnie p. Kapella.

— „Odgłosy"? Nie miałem okazji... Czy to dwutygodnik? Czy nauczyciele czytają? Nie wiem, nie zauważyłem.

Dziękujemy, przepraszamy...

Więcej szczęścia mamy w pociągu do Warszawy. W przedziale zastajemy dwie osoby. Czytają „Odgłosy".

Pani w szarej czapeczce — jak się okazuje nauczycielka — dostaje wypieków ze wzburzenia:

— Jak można? Oni podważają autorytet pedagoga!

Pan z czarnym wąsikiem — zdaje się ojciec dzieciom w wieku szkolnym — uśmiecha się nieznacznie.

— Oczywiście. Świętości nie szargać — jątrzy.

Przeczekujemy wybuch i próbujemy włączyć się do dyskusji.

— Owszem — przyznaje pani w szarej czapeczce — takie dyskusje są może nawet pożyteczne. Ale konieczny jest wtedy szczególny umiar. A pismo celuje w zadrażnianiu sytuacji. Dlaczego na przykład tak zjadliwie krytykuje się sztuki teatralne, a tak pobłażliwie ocenia filmy?

— To jasne — wtrąca pan z czarnym wąsikiem. — Recenzje teatralne czytują ludzie z pewnym wyrobieniem. Ładne by sobie wystawił świadectwo recenzent, gdyby pochwalił złą sztukę. A jeśli zgani dobrą, to znaczy, że ma wymagania. Ze swojej strony zarzucałbym raczej „Odgłosom" brak... powiedzmy systematyczności. Podejmą jakąś ciekawą i pożyteczną inicjatywę, ot chociażby jak dyskusja o teatrze, i później wszystko jakoś się na niczym rozpływa. Zresztą, dla kogo jest to pismo? Obok udokumentowanej, poważnej publicystyki, typowo prowincjonalne naiwności, aż przykro wspomnieć. Ale trzeba przyznać, że cykl reportaży łódzkich, chociaż nie wszystkie mi się podobały, to był kawałek dobrej roboty...

Mgr Janusz Dunin z Biblioteki Uniwersyteckiej zgłasza zastrzeżenia nieco inne:

— Widzi pan, wasi reporterzy bawią się często w literaturę, nienajlepszą literaturę, a moim zdaniem w piśmie regionalnym typu „Odgłosów" dominować winna dobra, rzetelna informacja. Nie znaczy to oczywiście, że jestem przeciwnikiem reportażu literackiego... Ale, niestety, Lovellowie nie rodzą się na kamieniu...

Dr Andrzej K. bardzo się spieszy, ale przypomina sobie swoją wypowiedź sprzed roku:

— Tak jest, określiłem wówczas „Odgłosy" jako skrzyżowanie „Kulis" z „Życiem Literackim" i tego nie cofam. Dzisiaj mógłbym tylko dodać: skrzyżowanie „Kulis", „Życia Literackiego" i... „Filmu".

Ale żarty na bok. Chyba dobrze, że poświęcacie teraz więcej miejsca filmowi. A co najważniejsze — omawiacie filmy właśnie wtedy, gdy wchodzą na łódzkie ekrany. To nie zawsze się udaje nawet czasopismom specjalistycznym...

Rok temu p. Władysław M. narzekał na brak — lubianych i popularnych w pewnych kręgach czytelników — opowieści zza kulis drugiej wojny światowej. Dziś, po dwunastu miesiącach nadal utyskuje:

— Poprawiliście się. „ORX-21 nie zrobił kariery" — to była mocna rzecz. Tylko znowu od jakiegoś czasu nie ma nic, co by mnie (wiem, że nie tylko mnie) interesowało. W każdy czwartek mam nadzieję, że przeczytam coś z tych „kawałków" redaktora Dagoberta i niestety...

Co robić? Jeszcze się taki (redaktor) nie narodził, który by wszystkim (Czytelnikom) dogodził. Zwracamy się do znanego łódzkiego satyryka.

— „Odgłosy" są jedynym pismem w kraju, które czytam i szanuję...

Zmieniamy szybko temat rozmowy.

Ach prawda, rok temu redaktor Irena Fenigsen z redakcji estradowej Polskiego Radia powiedziała nam coś dowcipnego... i nieco złośliwego.

— Jak Pani sądzi, czy „Odgłosy" poprawiły się przez ten rok? Czy przestały być „śmiertelnie poważne"?

— Czy „Odgłosy" się zmieniły? Naprawdę nie wiem. Ale ja nie zmieniłam się wcale i mój stosunek do waszego pisma nie uległ przez ten czas żadnej zmianie.

— A jaki był stosunek Pani do „Odgłosów" przed rokiem?

— Wie Pan... nie pamiętam...

— Poziom? — dziwi się pani Zofia B., młody socjolog. — Niechby tylko Łódź była na takim poziomie.

Jeśli to nieprawda, to przynajmniej ładnie powiedziane. Redaktor się udobrucha.

Mówi prof. Michał Orlicz:

— Tygodnik „Odgłosy" czytam od wielu lat z niesłabnącym zainteresowaniem. Redakcji nie jest bowiem obojętna żadna dziedzina życia publicznego ani żadna dyscyplina artystyczna. Odwaga, z jaką poruszacie rzeczy niewygodne a nawet drażliwe budzi raczej zaufanie, które zawsze towarzyszy poczynaniom wynikającym z potrzeb społecznych. Wielokierunkowość problematyki oraz wiązanie przeszłości z teraźniejszością skłania do rozważań, zmusza do zastanowienia się i pozwala oddychać atmosferą kulturalną.

Mówi I Sekretarz Komitetu Łódzkiego ZMS tow. Pakuła:

— Uważam „Odgłosy" za pismo całkiem niezłe. Macie sporo ciekawych reportaży tak zagranicznych jak i z naszego regionu. Podobają mi się także wasze dyskusje, są one bardzo żarliwe i to chyba dobrze, choć czasem rażą niektóre wypowiedzi atakujące nie tyle problem co po prostu autora-polemistę. Powtarzam, dyskusje są bardzo pożyteczne, chociaż, jak to zawsze bywa, mogą budzić i sprzeciwy. Ale to dobrze. Reasumując, myślę, że znaczenie „Odgłosów" w podnoszeniu rangi naszego miasta jest na pewno niemałe.

Wywiad prowadzili:

H. A.

J. W.

NOWE PREMIERY w TEATRZE im. St. JARACZA

Na styczeń Teatr im. St. Jaracza przygotował dwie premiery.

Pierwsza, która odbędzie się w niedzielę 14 stycznia, zaprezentuje publiczności łódzkiej — „Nigdy nie można przewidzieć", jedną z wczesnych komedii Bernarda Shawa, którą sam autor zaliczył do kategorii swoich „sztuk przyjemnych". W istocie jest ta komedia raczej komedio-farsą, pełno tu bowiem zaskakujących sytuacji i komicznych spięć, pełno również typowo shawowskiej nonszalanckiej swady i drwiny z obyczajów i konwenansów wiktoriańskiej Anglii.

„Nigdy nie można przewidzieć" ukaże się w reżyserii Ewy Bonackiej, w dekoracjach i strojach Henryki Głowackiej i Władysława Daszewskiego. Akompaniament muzyczny sztuki opracował Witold Rudziński.

Druga premiera, wyznaczona na koniec stycznia, będzie polską prapremierą jednego z klasycznych dzieł dramaturgii elżbietańskiej, mianowicie „Volpone" Ben Jonsona. Po raz pierwszy bowiem w Polsce ujrzymy komedię Ben Jonsona nie w adaptacji Stefana Zweiga, lecz w wersji oryginalnej, to znaczy w przekładzie z angielskiego, świeżo dokonanym przez Macieja Słomczyńskiego. Reżyseria „Volpone" spoczywa w rękach Maryny Broniewskiej, dekoracje i kostiumy zaprojektował Andrzej Sadowski, autorem opracowania muzycznego jest Tomasz Kiesewetter.

Grzegorz Timofiejew

droga DO ŁODZI

Pociąg pędził. W otwartych drzwiach wagonu wyskakiwały nagle drzewa. Jakbym ten krajobraz wyobrażał. Dałem się nieść rytmowi pędu, gwałtownemu chwilami, wydawało mi się, nieposkromionemu. Odpowiadała mu moja krew. Głęboko aż do dna zacząłem przemyśliwać te ważne słowa: wolni ludzie!

Odezwała się we mnie gwałtowna żądza życia. Bicie serca słyszałem w skroniach, puls zdawał się wołać: żyć, żyć. Wybierać z życia to, co kocham. Życie widziałem przed sobą natężone i nieograniczone, jakby wielopostaciowe. Kim jeszcze będę? Bieglem zadyszany od jednych przeżyć do drugich. Wyobraźnia przemieniała moją postać, wylaniała z wirującej gorącej mgły projekcje zamysłów i kształtów. Kim zostanę? Wszystkie warianty mojego pragnienia wydawały mi się łatwe do zrealizowania, miałem przed sobą nie dni lecz lata tworzenia.

Był to zdecydowany odwrót, tak myślałem, od piekieł obozu. Nareszcie człowiek nie musi się bać, nienawidzieć z głodu, może być bezpieczny wśród innych ludzi. Tak, nie bać się, to największy przywilej wolności. Bez podejrzenia, strachu i nienawiści budować swój los.

* * *

Ludzie byli różnie ubrani. Ale nie to mnie interesowało. Twarze, wyraz oczu, ruchy rąk... W wagonie panowało ożywienie. Ale rzadko widziałem radosny uśmiech. Twarze wyrażały skupienie, oczy więcej mówiły, były intensywne i jakieś rozbiegane. Wszyscy ci ludzie gdzieś się śpieszyli. W rękach mieli walizki, tłumoki... Urządzają się — pomyślałem. Domysł mój potwierdzał dobytek, który spostrzegłem w wagonie. Każdy coś miał, dźwigał, z troską w rękach piastował. Rzeczy były różne, od wartościowych do zupełnie błahych, ale temu się nie dziwiłem, gdyż po obozowemu wiedziałem, że wszystko się przydaje. Najwięcej widziałem żywności (handel chyba?) manufaktury (tak się po łódzku mówi) i rzeczy codziennego użytku. Ludzie ochraniali tę pozbieraną chyba zewsząd chudobę skrzętnymi ruchami rąk, przygarniali do siebie jak kura piskleta, nieomal pieścili. Widać to ważne, pomyślałem, od tego zaczyna się po wojnie. Ale skąd to wszystko wygrzebali? I ten dywan perski, i te wełniane suknie, buty, maszynę do pisania, serwety, srebrne stołowe zastawy? Wtedy pierwszy raz usłyszałem dziwaczne słowo: szaber.

Obok mnie ludzie się rozgadali. Nie krępowali się, że słucham.

...Przez ciekawość otworzyli. W skrzyneczce duży hak i prochu, bo ja wiem, tyćko... A jaki chłop był. Marendziakowa na komodzie tę skrzyneczkę postawiła, co na nią spojrzy, to zaraz płacze. A tu jak Sowieci wkroczyli, za tydzień Ignac przychodzi. Jak stara we drzwiach stała, zaraz na podłogę klapnęła... Z radości, no i ze strachu, ma się rozumieć.

...Dziurawe wojsko. Widział to kto babę w mundurze? I karabiny mają. Jak która chce, to i chłopa postrzelić może.

...E, z babą nie bitka, do łóżka wlazłeś i kwita.

...Weszliśmy. Jeszcze garnki na piecu stały. Ciepłe. Ale Niemcy już nawiali. Owszem niczego sobie mieszkanie. A bielizny, pani kochana!

...To może już takie szczęście od Pana Boga. Moi powiadają, nie wypada, nie złodzieje my, a teraz do Wrocławia po szaber tluc się wagonem wypada? Ale człowiek uczciwy zawsze frajer.

...Ładne miasto?

...Panie, światowe! Ale trupów i gruzów we Wrocławiu aż strach. Bandy. Ludzie mówią, nie idź pan bez tę ulicę — zabiją, wszystko zedrą aż do gaci.

...Co to się porobiło, mój ty Boże!

...Gada i gada. A oni nic, w ziemię patrzą, możeby i wzięli, bo chłop na ziemię zawsze chytry, ale w nocy leśni przyjdą. Cudze wziąłeś, dziedzicowe? I chałupę spalą, albo i w łeb pukną.

...Patrzcie, bandyci!

...Dla jednego bandyci, dla drugiego wojsko polskie.

...Dobry był sowiet. Nic nie chciał, tylko gorącej zupy trochę zjadł. Gdzie tu, mamasza, mówi, droga na Berlin? I tak poszedł. Powiada, od Stalingradu idę, ale do Berlina dojdę i za nasze krzywdy frycom odpłacę.

...Oj, krzywdy, krzywdy. W pierwszą wojnę człowiek na dziady wyszedł, teraz szkopy ludzi natłukli, wszystko poniszczyli, nie wiadomo za co się wpierw brać.

...Rogatywki mają, ale bez orzełków. Bo to ludowa władza. Niektórzy tam się krzywili, ale tak to ludzie płakali. Z orzełkami czy bez orzełków, ale Polacy. Swoja władza.

...To on łap ją za nogę. Córka krzyczy, co pan sobie myśli. Że kelnerka, to już można? Człowiek pracy jestem. Rozumie pan, człowiek pracy.

...Trzeba było do milicji.

...Ale... też na sali siedzieli. Pili. Teraz wszyscy bimber chlają. Władza nie władza.

...Co ludziskom żałować, wolność!

...Mój stary motorek jakiś wykopał i do fabryki leci. Towarzyszom, powiada, oddam. Nasza teraz fabryka.

...Nasza, nasza. Chłop zawsze głupi, za darmo robił a wie on co do garnka włożyć? Babska sprawa. Jakbym ja nie zahandlowała...

...Ale zawsze Polska. Ludzie wracają, każdy za swoje bierze. A że trudno, panie kochany, a po której wojnie jest łatwo?

...Do szkoły dzieci zaraz wzieni. Mówią, fabryki wasze, ziemia wasza, rząd wasz.

...Niby dziecków rząd?

...Coś pan pocipciał? Ludowy znaczy się.

...Aha, ludowy. No to może i będzie dobrze jak wszystko ludowe, nasze.

...Ale ci nasze. Bida z nędzą.

...A od czego masz pan ręce? Co zrobimy to i nasze. Nikt nam do podstawionej czapki groszy nie nasypie.

Słuchałem znużony. Usiłowałem wyłowić z zasłyszanych słów „wielkie sprawy rewolucji", ale wszystko mi się pomieszało. Monotonny stuk kół usypiał mnie. „Nie nasypie, nie nasypie, nie nasypie'. Drzemałem. Wprawdzie na stojaka, ale miałem w tym obozową wprawę. Stałem i zasypiałem.

* * *

Pociąg zatrzymał się.

— Co się stało?

Ktoś rzucił żartem:

— Łapanka.

Ale nikt się nie śmiał.

— Teraz często tak — wytłumaczono mi życzliwie. Nie zastanawiałem się, dlaczego „teraz" i dlaczego „tak". Stoi pociąg, to stoi, można na chwilę wysiąść.

Niedaleko Zawiercie. Lesista okolica. Okiem jak najdalej rzucić — lasy i lasy.

Wychylając się z wagonu rozejrzałem się.

Wzdłuż toru ciągnęły się lasy. Biegły w dal i gdzieś na horyzoncie zlewały się, łączyły się w sklepienie, w triumfalną bramę — dla naszego wjazdu. Daleko górą, na tle jasnego lazuru, małe i przetkane słońcem obłoczki wiły się w powitalną girlandę. Witajcie, rodacy! I owszem, ładnie, dekoracyjnie to wyglądało.

Wysiadłem.

Z wysokiego nasypu zeszedłem w dół, siadłem po przeciwnej stronie kolejowego, dość głębokiego rowu. Dzień był piękny, gorący. Powietrze mieniło się słonecznymi cętkami jakby ktoś złotą kotarę dzierżgał. Niekiedy podmuch wiatru tę kotarę odsłaniał. Wtedy las jakby przybliżał się, widziałem wyraźnie drzewa, każdą gałązkę.

Czułem w gorącej ziemi pulsowanie, krążenie ukrytych w niej sił. Trawa, igliwie pachniały odurzająco. Wciągnąłem tę woń w płuca tak głęboko i chciwie, że w pierwszej chwili zamąciło mi się w głowie. Powoli zacząłem rozróżniać różne zapachy, z nich stworzone były kolory, niewielkie delikatne kształty kwiatów. Przydrożna macierzanka, powój, gdzie więcej trawy — dmuchawce, ostromlecze, rumianek...

Gdzieś tu musiał być kopiec. Mrówki ciągnęły źdźbła uporczywie, powiedziałbym heroicznie. Położyłem im na drodze łodyżkę zerwanego kwiatu. Starannie ominęły przeszkodę. Lekko poruszyłem łodyżkę. Niektóre mrówki stoczyły się w dół po stromiznie rowu, ale zdołały się zatrzymać. I zaczynały wszystko od nowa.

Lasy były jodłowe, ale na skraju srebrzyły się świerkiem. Szły a szły gdzieś przed siebie i niosły moje zamyślenie. Oddalem się tej chwili, tym leśnym ogromom. „Był las — nie było nas. Będzie las — nie będzie nas". Otarłem pot z czoła, coraz większy upał. A jednak nie trafne. Las zetną pociski, strawią pożary. A ludzie? Jedni zginą, przyjdą po nich inni. I dokończą zaczętego dzieła. Jak te mrówki, jak te mrówki...

Zewsząd rozlegały się kuwikania, czyrczyrykania i przeróżne kwilenia. Słyszałem głosy ptasie wszystkie razem i każdy śpiew z osobna.

W obozie nie było ptactwa. Bo tam nawet ziemia stawała się człowiekowi wroga. Nie przygarniała ludzi, zamordowany szedł dymem w powietrze, ulatywał w niebo, nie będąc aniołem.

Parowóz gwizdnął. Wstałem. Śpiesząc się do pociągu, potrąciłem w rowie kulę białego puchu. Dmuchawiec rozpryskał się w powietrzu. Chciałem przystanąć, gwizd mnie przynaglił, opuściłem ten las, wsiadłem do wagonu.

Gdy dojeżdżaliśmy do Koluszek, niebo zaciągnęło się chmurami. Dzień nagle zszarzał. Ochłodziło się, chyba będzie plucha.

Stacja wydała mi się jakaś mała, przygarbiona i markotna. Chyba od szarości dnia taka — pomyślałem. Zresztą budynki starzeją się wraz z ludźmi. Człowiek odciśnie na nich ślad własnej ręki, przywiąże się i nie widzi, że dom jak on się sterał. Nie widzi, dopiero po latach rozłąki zauważy.

Pociąg do Łodzi już stał.

Wsiadłem do wagonu, tym razem rzeczywiście pasażerskiego. Ale jazda nie była bez defektu. Szyba w oknie wybita i to akurat koło mnie. A tu już deszcz siąpi, psiakość, kiepski mam los. Coś ta podróż nie usłana wygodą, nie wróży życiowego komfortu.

Przedział już szczelnie zapełniony. Ja przy tym oknie bez szyby. Pod wiatr i deszcz, cholera! Ale nie zdradziłem się z niezadowoleniem, nie wypada. Siedziałem milcząco i dostojnie. Z obozu męczennik za wolność. Toteż trzymałem fason. Niech ludzie widzą, jaki gość. Pod wiatr i deszcz, cholera! Ale nie zrzędzi, nie grymasi. Widzieliście bohatera, żeby kaprysił? A ja byłem z obozu, kapota i portki szkopskie, zorganizowane, plecak amerykański, ale serce polskie.

— Pana zawieje! — odezwała się współczująco jakaś babinka.

— Nie takie przeżyłem — zawiesiłem znacząco głos i popatrzyłem na swoich towarzyszy podróży. No, pytajcie! O głowy, gotowane w wiadrach od marmolady, o szpryce z fenolem dla tych, co odjeżdżali z „Bahnhofu" do nieba, o śmierć „nurka" albo „spadochroniarza", o wszystkie lojzy, flegmony... Pytajcie o wszystko, do czego strach się przyznać. No, pytajcie!

Ale wszyscy milczeli, bo tamto ich gówno obchodziło. Pasażerowie byli obrośnięci szabrem, upasieni dobrobytem, cyniczni i obojętni. Patrzyłem na nich ze zgrozą prawie, ale zwolna uczucie moje zmieniało się w oburzenie i wstręt.

Naprzeciwko mnie rozsiadła się kobieta. Chyba koło czterdziestki miała. Mleczna, kobylasta, wystrojona bez smaku, wyzywająca! Kosztowny, tak mi się zdawało, jedwab, czerwone różyczki na czarnym tle, opinał biodra, brzuch, ale nie mógł stłamsić narosłego sadła. Przy każdym ruchu kobiety brzuch jakby drgał w spazmach rozkoszy. O ten brzuch... Patrzyłem natarczywie, wydawało mi się, że kobieta nabrzmiewa pożądliwością i obnaża się bezwstydnie. Suknię podciągnęła wysoko, nogę na nogę założyła. Pantofelek z wężowej skóry, cienka pończoszka, a dalej udo pulchne, wylewające się jak ciasto z dzieży.

Spojrzałem raz, drugi i ja, nie ona, się zawstydziłem. Głodnyś, bracie, tego ciasta, a przecież dzieża nie dla ciebie. Ona spokojnie siedzi, a ty apetytu poskromić nie umiesz. To i nie gadaj, że ciasto złe. Skąd wiesz, może baba pierwszy sort w konsumpcji. Ale ja od strony klasowej... A to co innego, zatem nie poniechajmy obserwacji.

Ręce błyszczące pierścionkami o jaskrawo polakierowanych paznokciach poruszyły się. Boże, pomarańcza! Ona pomarańczę z papierowej torebki wyjęła. Zaczęła obierać, jakby nie obierała — leniwie i nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie.

Wyrzucając skórki, lekko nachylała się w kierunku okna i wtedy dekolt przy sukni osuwał się i prawie obnażał obfite piersi. Ale baba, babiszcze!

Obok niej towarzysz podróży, kochanek albo i mąż, czort ich wie, o typowym wyglądzie dorobkiewicza, mały, gruby, z ogromnym brzuchem i świńskimi oczkami w rozlanej gębie. Majakowskiemu z satyrycznych plakatów uciekł. Nieśmiertelny pasibrzuch!

Nad sobą na półce mieli walizki z żółtej skóry, nesesery i parasole.

Więc to tak? Spasiona dziwka, kurwiszcze, widać to od razu, i ten tłustojad... Ludzie w obozach siedzieli, w łapankach ginęli, a ci wojnę przetrzymali i już wyleźli z ukrycia. Ułuczeni i drapieżni jak wszy. Na nieszczęściu innych oni zarobili, w sadło porośli i są, proszę bardzo, są także obywatelami Demokratycznej Polski. Gdzież sprawiedliwość? Jak dawniej — frajer zginął, spryciarz się obłowił. Triumfuje teraz nad ludzką biedą. Wystrojona dziwka pomarańcze żre, a inni ludzie, a ja? Wolałem nie myśleć dalej. Gospodarz na dorobku, niby ja. Boso, ale w ostrogach, niby ja. A to po prostu śmieszne, tak się pocieszać. Jestem nędzarz. Może uszczęśliwiony nędzarz, że do ojczyzny wracam, ale na długo starczy tej uciechy, gdy spryciarze z forsą, a ja mam puste ręce?

* * *

Pociąg nie ruszał. Nie pytałem się, dlaczego. Czułem się w tym przedziale obco i nie chciałem nawiązywać rozmów.

Z peronów dochodził mnie ogłuszający wrzask. Wyjrzałem przez okno. Po obu stronach pociągu kobiety, dziewczyny i chłopcy. Z koszykami, dzbanami, butelkami, garnkami, kubkami. A niektórzy po prostu w rękach trzymali... Co? Buleczki! Buleczki! Kiełbasa gorąca, gorąca... Mleko, mleko. Jajka, jajka! Śmietana, śmietana! Kiełbasa gorąca, kiełbasa! Plaaacek!

Zacząłem prawie dygotać z wrażenia. Ileż tu żywności! Kiełbasa wyjmowana z garnków ociekała obficie tłuszczem. Bułki nadymały rumiane policzki. Mleko bulgotało w butelkach. Żarcie rosło ludziom w rękach, rozpychało się w mlaszczących gębach, burczało w brzuchach.

Bezwstyd sytości! W obozie muzułmani w ustępie rzygowiny rękami zmiatali — jedli! Glinkę łupali — jedli! Zielska z ziemi wyskubywali — jedli. W wyrzuconych z krematorium rozżarzonych kościach ziemniaki piekli — jedli. Dla kromki chleba życiem ryzykowali — jedli!

A oto teraz chleb, mięso, wszystko zostało wystawione na zwykłą sprzedaż. Kromka chleba w obozie opłacona śmiercią tylu ludzi — już nie budziła pożądania. Dawaj — coś lepszego. Całe koła kiełbas, bułki z szynką, placki, śmietana — za pieniądze!!! Kto płacił, miał dużo forsy — brał.

A ci sprzedawcy? Młodzi przecież chłopcy i dziewczyny. Za moich konspiracyjnych lat tacy tajne gazetki przenosili, broń ukrywali. A teraz stoją przy wagonach i wrzeszczą: kiełbasa, kiełbasa. Gdzież jesteście, bohaterowie?

* * *

Na drodze z Koluszek do Łodzi wszystko budziło moje wspomnienia. Każda stacyjka miała swoją wymowę.

Gałkówek. Tu za Hitlera biegła granica. Ale kolejarze byli nasi. Przeprowadzali przez granicę spalonych w konspiracyjnej robocie w „Warthegau" żeby się mogli zamelinować w GG. Ułatwiali kontakty, przerzucali „bibułę" i kurierów z Warszawy. Ryzykowali głową, ale tacy już byli nasi kolejarze: czerwoni i patrioci na bij, zabij! Kiedy siedziałem na Sterlinga, gestapo wpędziło do cel osiemdziesięciu prawie kolejarzy z samego tylko węzła w Karsznicach. Za „illegale Betätigung".

W pamięci niespokojnie mignęła mi postać starego, przygarbionego kolejarza z Zebrzydowic. „Tu źle, po coście, panowie przyjechali? — rzucił nam w twarz, gdyśmy pierwszy wolny skrawek ojczystej ziemi z egzaltacją witali. Wtedy te słowa wywołały we mnie zdumienie, gorycz, wreszcie rozterkę. Ale teraz wiedziałem już, że tamten kolejarz nie z nienawiści takie słowa wyrzekł, ale z rozpaczy, z biedy, którą widziałem obok dostatku nielicznych. Tym radośniej wracałem, choć „tu źle". Dziwna logika. Źle, a wracałem. Tak, ale miłość nie pyta o logikę.

Andrzejów! Śmieszny, pretensjonalny, stary, drewniany budyneczek „pod werandą". Obok wyrósł nowy dworzec kolejowy, ten stary był nieczynny, ale dawne czasy przypominał. Ho, ho, helenowskie czasy, kiedy do Helenowa i pod Łódź do Andrzejowa walił tłum spacerowiczów. Jeszcze i ja, choć to już po pierwszej wojnie sporo było, urywałem się tu na sztubackie wagary. Najpierw sam, a potem z dziewczyną, która oczywiście była najpiękniejsza, wybrana, właśnie „ta", jedna jedyna na świecie.

Szliśmy ścieżką przez las. Na policzku dziewczyny grał promyk słońca, a kukułka wróżyła nam, ile będziemy mieli dwój na zakończenie roku.

Dalszy ciąg na str. 10

DROGA *do* ŁODZI

Dalszy ciąg ze str. 9

Dalej gospodarstwa rolne nabierały charakteru pół miejskiego. Wyłaniały się pierwsze zarysy wielkiej Łodzi. Wielkiej, choć to i rudery, niskie domostwa, a uliczki pokręcone. Ale tu właśnie, gdzie Polacy mówiąc zatrącali z chłopska, biło harde, polskie serce Łodzi, gdy Niemcy zrobili z mojego miasta Litzmannstadt i rdzenną ludność zepchnęli na krańce. Albo wysiedlili. Gdy przyszli do jakiegoś gospodarza, ten zostawił wszystko. Nie wziął ani odrobiny z tego, na co całe życie harował. Pożegnał obejście, ucałował bydło, konia, uwiązał sobie u szyi woreczek z ojczystą ziemią i tak odszedł z żoną, dziećmi...

Łódź-Widzew, Niciarniana... Robotnicze dzielnice. Stare, z dużą tradycją klasową. Niepokorne i pracowite. Wydawało mi się, że słyszę, jak furczą wrzeciona. Snują się bawełniane nici. Skręca się i moja... Moja nić.

Mój Boże, przecież to zaraz Łódź! Żywiej zabiło mi serce. Wracałem do gniazda, a jakie ono? W ostatnim okresie w obozie nie mieliśmy wiadomości z kraju, listy nie dochodziły. Podobno Łódź nie została zniszczona. A ludzie cali, zdrowi? Ojczyzna to jedno i drugie — miasta i ludzie. Może być najmniejsze czy najskromniejsze miasto, ale każdy tu kamień jest swój, każdy człowiek drogi czy bliski, jeśli się tutaj urodziłeś, razem z ludźmi żyłeś, walczyłeś i cierpiałeś... Razem z ludźmi.

Teraz były więzień na swoje ciągnie, a to swoje może już nie swoje? Czym prędzej odpędziłem od siebie tę myśl. Wszystkimi pragnieniami wrosłem w łódzką ziemię. Rozłożysty dąb się powali, ogromny gmach można zburzyć, ale człowieka nie wyrwie się z ojcowizny, jeśli głęboko zapuścił korzenie.

Niespokojnie wyjrzałem przez okno wagonu. Szyba wybita, mogłem się prawie do połowy wychylić. Niebo! Było zaciągnięte chmurami, brudne i ciężkie. Ale nie o to mi chodziło. Czy łódzkie kominy dymią? To się w niebie widzi, nawet gdy taka plucha jak teraz.

Pamiętałem, jak działo się po tamtej wojnie. Niemcy wywieźli z fabryk maszyny i surowce. Robotników zapędzili do batalionów pracy, zatrudnionych przy budowie kolei. Mnóstwo ludzi poszło na wieś szukać chleba. I z tą biedą zaczęła się druga niepodległość. Fabryki stanęły, paleniska pieców były wygasłe, martwe. Zrozpaczeni robotnicy szli pod magistrat. Polacy do Polaków strzelali. Krwią nasiąkał łódzki bruk.

A teraz? Z daleka nie mogłem dobrze zobaczyć: obłok to czy dym? Jakoś się ta smuga wije, zakręca, ale może to wiatr chmurę popędził? Coś mi na chmurę nie wygląda. I tu i tam. Nie było wątpliwości. W niebo szły wysokie, kręte, brudne dymy. Odetchnąłem z radosną ulgą. Fabryki pracują. No, no! Wtuliłem się w swój kąt pod wiatr i deszcz! Ale było mi ciepło, jakbym siedział przy palenisku olbrzymiego pieca.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Fragment nowej książki pt. „Trudna wolność". Stanowi ona dalszy ciąg powieści „Miłość nie zna zmęczenia" i „Człowiek jest nagi".

Z wystawy fotograficznej

HARTWIGA

PIÓRKIEM PO AKTUALNOŚCIACH

W grudniowym „Tele-echu" pani Irena Dziedzic zademonstrowała „pas przeciwurazowy„ polskiej produkcji, mający chronić prowadzącego samochód przed poturbowaniem w razie wypadku.

Interlokutor pani Ireny wyjaśnił, że jest to w zasadzie „pas przeciwurazowy" — jednorazowy", gdyż po najlżejszym nawet zderzeniu nie nadaje się już do użytku. Cena pasa — 1.500 złotych.

— To drogo — powiedziała pani Irena.

— Tak, ale życie ludzkie jest droższe — odparł interlokutor.

Przypomina się znane powiedzenie pewnych pracowników branży przestępczej: „pieniądze — albo życie".

* * *

Ministerstwa Kultury miewają różne kłopoty. Tak na przykład Ministerstwo Kultury Zjednoczonej Republiki Arabskiej zajęło się reformą popularnego w Egipcie „tańca brzucha", zalecając tancerkom „zmniejszenie intensywności ruchów w tańcu".

Wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby nasze Ministerstwo Kultury wystąpiło z okólnikiem na temat „zmniejszenia intensywności ruchów przy rock and rollu". To byłby dopiero ruch!

* * *

Polska „wódka" zdobywa sobie coraz większą ilość rynków zagranicznych. Jest to cenny wkład do walki z alkoholizmem w kraju. Bo skoro inne kraje zaczną spożywać więcej alkoholu — to w statystyce światowej Polska może stracić palmę pierwszeństwa. A zatem — spożycie alkoholu u nas się zmniejszy...

* * *

W końcu ub. roku nadany został przez Radio komunikat „Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami" treści następującej: „Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami organizuje dla swych sympatyków imprezę pod hasłem: „Jak się macie, zwierzęta?" Koń by się uśmiał.

* * *

Jak doniosła prasa, jeden z myśliwych łódzkiego Kółka Łowieckiego „Kolejarz" upolował na Sikawie... kota. Wypadek ten gazeta pokwitowała oburzeniem. Niesłusznie. Jak by nie było, kot należy do tej samej rodziny zwierząt, co lew i tygrys. Więc ja się pytam, co mają robić ambitni myśliwi polujący na Sikawie?

* * *

Powodzenie granej obecnie w Łodzi sztuki „Tramwaj zwany pożądaniem" tłumaczą niektórzy.., warunkami komunikacyjnymi w naszym mieście. Zwłaszcza o tej porze roku, gdy pada i jest zimno, a tramwaj długo nie nadjeżdża — jest to prawdziwy „Tramwaj zwany pożądaniem".

* * *

Jeden z naszych znajomych poszukiwał ostatnio po księgarniach tomu poezji zatytułowanego „Muza grecka". Okazało się, że tom ten został rozsprzedany, w przeciwieństwie do znacznej liczby tomików spod znaku współczesnej „muzy polskiej".

Ktoś powiedział, że te tomiki znalazłyby również nabywców, gdyby miały one istotnie coś wspólnego polską muzą...

* * *

Z listów do Redakcji „Expressu Wieczornego":

„Droga Redakcjo! Bez dłuższego namysłu i w zgodzie z moim mężem wybrałam dla naszej pierworodnej córy imię Syrena. Uważam, że rodowita warszawianka ma prawo zwać się Syrenką".

A co na to miłośnicy innych miast? Może by tak rodzice jakiejś nowo narodzonej łodzianki dali jej na imię „Łódka", krakowianki lub bydgoszczanki — „Brama Warowna", gdynianki — „Rybka" a sopocianki — „Mewka". Chłopiec z Jeleniej Góry mógłby zostać nazwany imieniem „Jelonek", a chłopiec z Łowicza — imieniem „Pelikan".

W ten sposób noworodki dadzą początek pierwszej w ustroju socjalistycznym herbowej rodzinie.

* * *

Łódź się europeizuje. Świadczą o tym neony. Jest ich coraz więcej i są one coraz większe. W sąsiedztwie wdzięcznej konwaliiki z ulicy Piotrkowskiej pojawił się ostatnio neon gigant, który nazwać można również neonem-koszmarem. Ten przedziwny łamaniec (słowa są tu pocięte na sylaby) tworzy napis „Spół-dziel-czy dom han-dlo-wy PSS".

Jak na neon o takim rozmachu — nawet nazwa ta wydaje się nam niekompletna. Proponujemy uzupełnić ją określeniem „Dyrekcja Łódź — Zachód" bądź „Dyrekcja Łódź — Południe", a także datą urodzenia kierownika sklepu. Gdyby starczyło jeszcze trochę miejsca, chętnie widzielibyśmy również nazwisko projektanta neonu.

T.G_R.

Rzeczy ciekawe

PANOWIE, DELIKATNIE

W brukselskim domu mody dla panów umieszczono dyskretny napis: „Gentelman nie wywiera presji na ceny ani na ekspedientki"

HOMO SAPIENS NA CZWARTYM MIEJSCU

Francuski badacz psychologii zwierząt, Meunier, sklasyfikował na podstawie testów umiejętność przechodzenia jezdni w następującej kolejności: 1) gęś, 2) kot, 3) świnia, 4) człowiek, 5) kura 6) pies.

CIĘŻKIE CZYTANIE

Świąteczny numer „New York Times'a" waży 2,4 kilograma. Na wydrukowanie nakładu tej 550 stronicowej gazety zużywa się 128 ton farby drukarskiej i 3560 ton papieru.

MISS ŚLEDŹ

W Danii są b. modne konkursy piękności. Ojcowie miasta Hasle ogłosili konkurs na „Miss Śledzia", zaś w innym Klajhagen na „Miss Langustę".

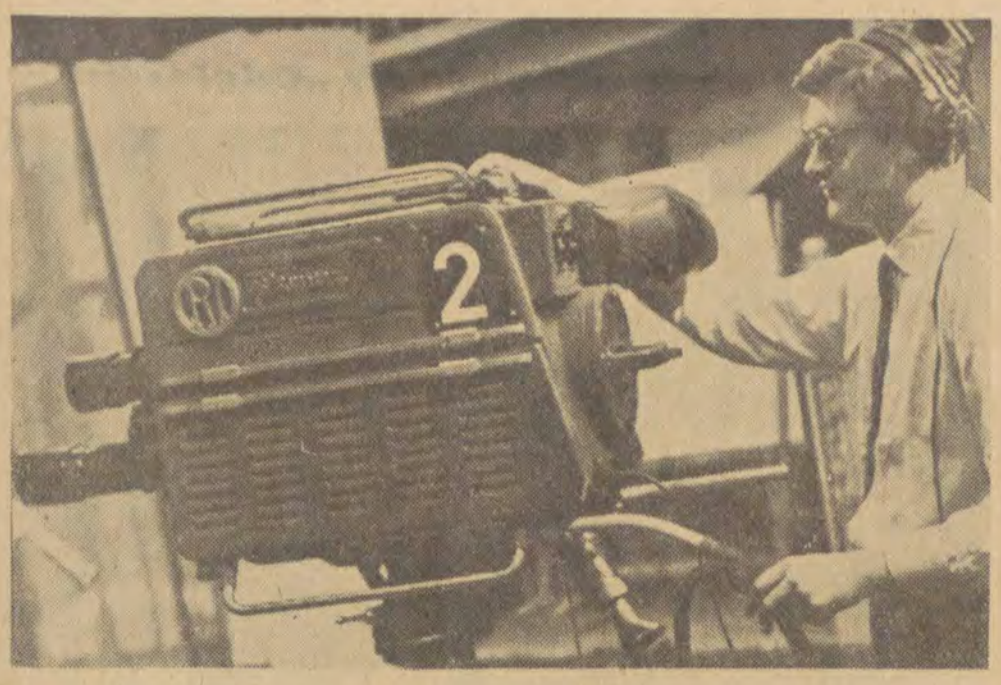

Wojciech Król — jeden z najpopularniejszych i najlepszych (mamy na to zeznania aktorów) operatorów Ł.O.T.

Nowe telewizory

Warszawskie Zakłady Telewizyjne wypuszczą niedługo na rynek 500.000 telewizor. Nie znaczy to, że mamy w kraju tylko tyle aparatów, albo, że tylko tyle wyprodukował nasz przemysł. Mamy w kraju kilka fabryk telewizorów, importujemy poważne ilości aparatów zza granicy, ale to małe święto WZT jest zarazem dowodem rozwoju przemysłu telewizyjnego w Polsce i rozwoju telewizji w ogóle.

Liczba abonentów zbliża się w tej chwili do miljona, a przecież jesteśmy krajem „telewizyjnie młodym". Cóż to jest te pięć czy sześć lat. Radiofonia rozwijała się znacznie wolniej, bo wolniej postępował rozwój techniki radiowej. Dziś jest inaczej. Odbiornik radiowy, który teraz jest rewelacją, za pół roku schodzi w cień. To samo z telewizorami. Popularny „Szmaragd" do telewizora „Koral" jak dotąd odbiornik ten produkowany był wyłącznie na eksport, co może dawać znaczną gwarancję jego jakości i walorów eksploatacyjnych. Warszawskie Zakłady Telewizyjne zapewniają, że w końcu tego roku sklepy otrzymają około 10 tys. „Korali". Jak to cudo wygląda, można zobaczyć na zdjęciu obok, a jakie ma walory? Płaski 17 calowy kineskop z automatyczną regulacją jaskrawości, kontrastu i poziomu czerni, prócz tego stabilizacja synchronizacji wysokiego napięcia i wymiarów obrazu. Jest o 4 kg lżejszy od „Szmaragdu", kąt odchylenia lampy kineskopowej 110 stopni. Gwarantowany odbiór programu w każdych warunkach. Ten model zamierzają zakłady lansować w swych planach produkcyjnych na najbliższe lata.

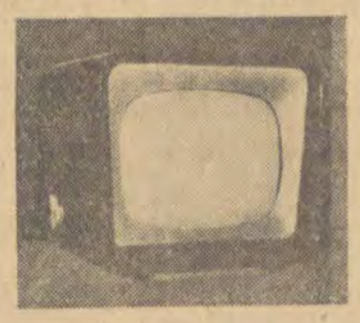

Na zdjęciu: Po lewej „KORAL" obok dawno zapowiadany popularny odbiornik jednokanałowy „Pegaz" produkcji Gdańskich Zakładów Radiowych. Tego ostatniego na rynku jeszcze nie zauważyliśmy...

nabywamy dziś bez tych ulepszeń jakie będzie miał już w drugim kwartale bieżącego roku, a więc np. bez stabilizatora odchylania linii, który umożliwia lepszy odbiór obrazu nawet w wypadkach spadków napięcia. Nowy odbiornik „Szmaragd-902" będzie też znacznie czulszy co umożliwi odbiór programu w ośrodkach znacznie oddalonych od stacji nadawczej. No i obwody drukowane, coś co zmniejsza wagę aparatu i gwarantuje znacznie większą sprawność poszczególnych członów urządzenia. Pozostałe dane techniczne „Szmaragdu" pozostaną na razie bez zmian, więc: ekran 17 cali, kąt odchylenia lampy kineskopowej — 90 stopni.

Obwody drukowane wkroczyły już na dobre do telewizora „Koral" jak dotąd odbiornik ten produkowany był wyłącznie na eksport, co może dawać znaczną gwarancję jego jakości i walorów eksploatacyjnych. Warszawskie Zakłady Telewizyjne zapewniają, że w końcu tego roku sklepy otrzymają około 10 tys. „Korali". Jak to cudo wygląda, można zobaczyć na zdjęciu obok, a jakie ma walory? Płaski 17 calowy kineskop z automatyczną regulacją jaskrawości, kontrastu i poziomu czerni, prócz tego stabilizacja synchronizacji wysokiego napięcia i wymiarów obrazu. Jest o 4 kg lżejszy od „Szmaragdu", kąt odchylenia lampy kineskopowej 110 stopni. Gwarantowany odbiór programu w każdych warunkach. Ten model zamierzają zakłady lansować w swych planach produkcyjnych na najbliższe lata.

Na przykładzie „Korala" można już zwrócić uwagę na ewolucję formy zewnętrznej aparatu telewizyjnego. Od wielkiej skrzyni i małego ekranu „Rubensa" czy „Duerera" do małych, płaskich skrzynek „Korala" i radzieckiego telewizora „Temp-9". Swoją drogą warto zapytać dlaczego ten ostatni znakomity telewizor można nabywać bez trudu za 9 tys. złotych na Śląsku, a nie widać go na żadnej wystawie w Łodzi. ZURiT jak się zdaje nie bardzo umie się starać dla nas o aparaty z importu. Ba, gdyby tylko to! Polskie magnetofony „Piosenka" były w takiej Częstochowie już rok temu, wiosną 1961 roku, a w Łodzi pokazały się dopiero przed świętami!

Nowe filmy seryjne i przebojowe klasyki filmowej na małym ekranie

Co też przygotowują w filmowej kuchni naszej telewizji na bieżący rok? Niemało, proszę państwa, niemało a w tym sporo smakołyków. A więc obejrzymy 230 filmów fabularnych, ponad 150 seryjnych filmów telewizyjnych i 300 filmów krótkometrażowych. Z filmów radzieckich zobaczymy wiecznie młode dzieła klasyki filmowej jak komedie Aleksandrowa „Świat się śmieje" (raz już w TV wyświetlaną), „Wołga-Wołga" i film muzyczny „Antoni Iwanowicz gniewa się". Filmy amerykańskie to (oczywiście między innymi) „Błękitna Rapsodia" (o Gershwinie) „Łuk Triumfalny" (wg. powieści Remarque'a"), dwa filmy z Eroll Flynnem: „Kapitan Blood" i „Robin Hood", „Płomień Nowego Orleanu" z Marleną Dietrich, „Casablanca" z Ingrid Bergman i wiele innych.

Wśród wielu filmów francuskich znajdziemy m.in. „Fanfana Tulipana" z Philipem, „Cenę strachu", „Trzech muszkieterów", „Juliettę", „Krwawą vendettę", przedwojenny film Renoira „Zbrodnia pana Lange" Z angielskich: „Szajka z Lawendowego wzgórza" i „Rosanna siedmiu księżyców". Będą także filmy japońskie i archiwalne filmy polskie.

Ktoś powie, że telewizja upłynnia buble archiwalne. Jeśli zgodzić się można z drugim określeniem, to pierwsze na pewno nie jest słuszne. Wejdą na mały ekran najlepsze filmy, jakie oglądaliśmy w kinach przed paru laty i na pewno chętnie do nich wrócimy u siebie w domu. Ten pomysł, pomysł sięgnięcia do archiwów filmowych, należy ze wszech miar pochwalić.

Z filmów seryjnych cieszących się tak wielkim powodzeniem zobaczymy nowy cykl „Niebezpieczeństwo jest moim żywiołem", ukazujący ludzi, których zawód jest niebezpieczny i serię filmów austryjackich zrealizowanych pod wodą. W dalszym ciągu będzie szedł „Zorro" i „Mój koń".

Kwitujemy ODBIÓR

Na rysownicach dorosłych projektantów znajduje się w tej chwili Łódzki Park Wypoczynku, przeznaczony dla dorosłych, dla młodzieży i dzieci. Ten fakt inspirował oryginalny pomysł audycji młodzieżowej, który można streścić następująco: dorośli opracowują swe projekty w oparciu o konkretne możliwości finansowe, materiałowe, wykonawcze itd. Fantazja autorów jest określana z góry granicami możliwej w naszych warunkach realizacji. To wpływa w sposób oczywisty na rozmach, na inwencję, w końcu na wygląd obiektu. A co by było, gdyby odrzucić ten drugi czion determinujący? Gdyby pozostać tylko przy pierwszym, rozwinąć skrzydła wyobraźni, popuścić wodze fantazji, kreślić wizje parku, mając na uwadze tylko dobrą zabawę, wypoczynek, piękno i nowoczesność?

Przy pulpitach w studio telewizyjnym stanęło 11 młodych ludzi. Mgr inż. arch. E. Budlewski razem z nimi omawiał ich projekty. W jakim kierunku zmierzała wyobraźnia młodych? Kształty budynków, które projektowali, owe bec..ki, banie, balony — były oryginalne, ale chyba nie praktyczne dla wykonania złożonych funkcji, za to plastikowy most obrotowy, projekt rakiety-zabawki, w której można przeżyć rozkosze kosmicznego wzlotu, układy pasów zieleni, basenów kąpielowych, kortów, miejsc zabaw zasługują na uwagę.

Przede wszystkim jednak zasługuje na uwagę sam scenariusz audycji, dobór prawdziwie telewizyjnego tematu, który gwarantuje ruch przed kamerą, szybką zmianę ciekawych ilustracji no i ma nie bagatelny sens ogólny. Okazuje się bowiem, że młodzież nasza nie jest pozbawiona fantazji, orientuje się dobrze w zdobyczach i kierunkach rozwoju techniki (sprawa promieni podczerwonych) i chętnie stosuje je już w praktyce projektowej. To może nas napawać nadzieją i otuchą.

(m)

***) „Egzamin z wyobraźni" — młodzieżowy program publicystyczny. LOT — program ogólnopolski 15.1.62. Scenariusz: Zbigniew Chyliński, realizacja TV: Tadeusz Worontkiewicz.**

Dzięki „Przekrojowi"

...który ze zjadliwym komentarzem pomieścił niniejsze zdjęcie zostaliśmy w pewnym sensie rozsławieni.

„Przekrój" dowcip kupił i sprzedał dalej. A rzecz w tym, że w audycji rozrywkowej „Obrachunki włókniarskie" reżyser przydział parę panienek w takie oto stroiki i kazał im pracowicie wnosić na scenę przystawkowe dekoracje. Cośmy zgodnie z brutalną prawdą odnotowali, podpisując zdjęcie: brygada techniczna.

A „Przekrój" skomentował: prawie Lolobrygada...

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK — 18. I. 62 R.

10.00 Program dla szkół — dla klas licealnych. Język polski. Cykl: „Dzieje dramatu" — temat: „Cyd" — Corneille'a (W). 10.30 Przerwa. 16.50 Program dnia (Ł). 16.55 Program dla dzieci: „Śmiejemy się z siebie" (W). 17.40 „Baedecker krakowski" (Kraków). 18.05 „Imć pan Mroczek i jego prawniki" — program z cyklu: „O wsi dla wszystkich" (W). 18.40 „1000 taktów muzyki" — program muzyki popularnej i rozrywkowej w wyk. Zespołu Kameralnego pod kier. Stefana Rachonia z udziałem Wiesławy Drojeckiej oraz kwartetu wokalnego „Beltono" — piosenki (W). 19.10 Dziennik TV (W). 19.45 Sprawozdanie z międzypaństwowego meczu w hokeju na lodzie — CSRS — ZSRR — Transmisja z Pragi (Praga). 21.15 Teatr „Kobra" — „Reportaż sensacyjny" — widowisko wg scen. Boba Hawk (Ł. ogólnop.). 22.25 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK — 19. I. 62 R.

16.55 Program dnia (Ł). 17.00 Program tygodnia (W). 17.20 Program tygodnia (Ł). 17.35 Dymy nad miastem (Ł). 17.50 Znak Zorro — odc. VII — film prod. USA (W). 18.20 TV Magazyn Wojskowy (W). 18.50 Wszechnica TV: „Einstein" — program z cyklu: „Człowiek i jego dzieło" (W). 19.30 Dziennik TV (W). 20.00 „Dyrektor" — program publicystyczny (W). 20.35 „Jak zabawa — to zabawa" (W). 20.55 „Daleki ukochany" — film fab. prod. radzieckiej (od lat 14) (W). 22.10 Ostatnie wiadomości (W). 22.15 Szopka łódzka (Ł).

SOBOTA — 20. I. 62 R.

10.00 Program dla szkół dla klas V (biologia) — cykl: „W świecie zwierząt". Temat: „Zima w naszej przyrodzie". 10.30 Przerwa. 16.55 Program dnia (Ł). 17.00 „Polska ma więcej niż 1000 lat" — telekonkurs dla dzieci i młodzieży (W). 18.30 „Spojrzenia i opinie" (Ł. lok.). 19.05 „Porozmawiajmy" (W). 19.30 Dziennik telewizyjny. 20.00 „Pegaz" (W). 20.35 „Szampan dla Cezara" film prod. USA dozw. od lat 14 (W). 22.15 Ostatnie wiadomości (W). 22.25 „Jak to miło w wieczór bywa" (powt. z dnia 24. XII. 1961 r.)—program rozrywkowy.

Uwaga: dnia 19 i 20 stycznia br. program może ulec zmianie ze względu na akademię centralną.

Teatr Popularny - jaki ma być?

Na łamach „Radia i Telewizji" wybuchła dyskusja o Teatrze Popularnym telewizji, o jego przyszłym modelu, repertuarze, kształcie artystycznym. Dotychczas zabrali głos Adam Ostrowski i Roman Szydłowski, najbliższe numery przyniosą zapewne głosy następne. Problem — zapewne — jest niebagatelny: Teatr Popularny TV, aczkolwiek przynajmniej w pierwszym okresie działania ma dawać tylko jedną premierę miesięcznie, odwoływać się ma do najbardziej masowego widza, ma kształtować jego smak i gust artystyczny, zapoznawać go z arcydziełami światowej i polskiej dramaturgii, uczyć i wzruszać, bawić i wychowywać.

Ten bezmiar zadań w odniesieniu do tak szerokiego i tak zróżnicowanego jak by nie było audytorium — aż przeraża. Chciałoby się, zapewne, pokazać telewizyjnemu widzowi wszystko, bądź prawie wszystko, dziesiątki spektakli, a tu czeka nas w roku najbliższym tylko dwanaście premier. Tylko — dużo to, czy mało? I co powinno pójść na pierwszy ogień?

Roman Szydłowski wylicza niemal jednym tchem. Ajschylos, Sofokles i Eurypides. Oczywiście Arystofanes. Oczywiście Szekspir. Marlowe i Ben Jonson, Lope de Vega, Calderon, de Rojas i Tirso de Molina. Molier, Corneille i Beaumarchais. Schiller, Kleist i Büchner. Gribojedow, Puszkin, Gogol i Czechow. Goldoni i Gozzi. J. K. Tyller i Kliepery. Madach i Caragiale. Ibsen i Strindberg. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński. Musset i Wiktor Hugo, Fredro, Wyspiański, Zapolska, Rittner, Perzyński.

Dalej Shaw, Gorki, Majakowski, Brecht, Sean O'Casey, Kruczkowski, Hauptmann, O'Neill, Artur Miller, Sartre, Anouilh.

Tyle nazwisk. Parę zapewne można by dorzucić — parę ewentualnie ująć.

Ale to niczego nie zmieni. Mimo znanej żarłoczności telewizji, która z jednakową łapczywością rzuca się na pozycje oryginalne, jak i sztuki, na nowele, jak i zdatne do adaptacji powieści, zgłębienie oceanu światowej dramaturgii wydaje się być w najlepszym razie sprawą dalekiej perspektywy. Szczególnie, że już padło słowo „warsztat". A to niebezpieczne słowo.

Józef Mayen przypomniał w ostatnim „Dialogu" wypowiedź Adama Hanuszkiewicza na łamach „Cahiers d'Etudes de la Radio-Television": „...autorzy klasyczni, tzn. Grecy, Shakespeare, Moliere, Corneille i Racine są zbyt chyba potężni dla intymnego charakteru telewizji (...). Są, innymi słowy, zbyt monumentalni dla telewizji, która ze swej strony, jest zawsze trochę werystyczna".

Dziś, po dwóch latach od chwili napisania tych słów i doświadczeniach choćby ze „Szkołą żon" Hanuszkiewicz zmieniłby być może coś niecoś w swoich sformułowaniach, ale chyba niewiele. Rzecz w tym po prostu, że aczkolwiek dobrze byłoby pokazać masowemu widzowi Eurypidesa i Szekspira, i Wiktora Hugo, na pewno niedobrze byłoby pokazać ich w kształcie niepełnym, okrojonym, w formie „bryku", jakiejś takiej „intelektualnej ściągawki".

Roman Szydłowski powiada nie bez głębokiej racji, że należałoby Teatrowi Popularnemu zapewnić jednolite kierownictwo artystyczne, następnie jak największe możliwości inscenizacyjne i finansowe. Powiada też, że nie może to być „teatr w lufciku" — kolejne pytanie jednak, czy p r a w d z i w y, bogaty i głęboki Szekspir, nawet przy jednolitym kierownictwu i zalewie finansowych środków (w to ostatnie, ze zrozumiałych przyczyn, zresztą, po prostu nie wierzę) w ogóle zechce się w telewizyjnym lufciku zmieścić.

Jest jednak jakaś wyraźna różnica między eksperymentalną, trzyosobową „Szkołą żon", którą możemy smakować znając nie tylko tekst, ale i kilka przynajmniej scenicznych wcieleń molierowskiego arcydzieła, a pomiędzy prawdziwą „Szkołą żon", którą nawet w zapadłym terenie może poznać widz objazdowego teatru.

Jeżeli zgodzimy się tedy — a na ten temat trudno wieść chyba dyskusję — że ani namiastki, ani „bryków" dawać masowemu widzowi nie wolno, lista potencjalnych autorów przyszłego Teatru Popularnego ulegnie prawdopodobnie poważnemu zawężeniu. Chyba, oczywiście, że znajdziemy formułę inscenizacyjną, która pozwoli wtłoczyć „Burzę" „Hernaniego" w 21 cali ekranu, ale na to — jak dotychczas — raczej się nie zanosi.

Stąd przystoi nam chyba być skromnym, nawet w marzeniach. Na pewno, bądź prawie na pewno, nie zmienimy Teatru Popularnego w wielki, ogólnonarodowy kurs światowego teatru. Nie zastąpimy nim nawet skromnych „żywych" teatrów objazdowych w rodzaju Teatru Ziemi Łódzkiej czy Teatru Ziemi Mazowieckiej. Możemy natomiast — i to chyba będzie naszym celem, przynajmniej w okresie najbliższym — dać masowemu widzowi szereg rzetelnych i czytelnych widowisk, zapoznających go z tymi pisarzami, którzy w telewizji nie wychodzą ubożsi, odarci ze znacznej części swojego uroku. Będzie to wiele, ogromnie wiele, choć mniej zapewne, niż by się chciało.

I jeszcze jedno. Warto przemyśleć, czy wystarczy premiery puszczać „na żywioł", czy też lepiej poprzedzać je krótką prelekcją, wcześniej jeszcze i wywiadem z reżyserem, słowem całą kampanię przygotowawczą. Dla mnie — lepiej jest przygotowywać widza, nawet do poczciwego Fredry czy Zapolskiej.

JERZY PANASEWICZ

ODGŁOSY tygodnia

ALL RIGHTS RESERVED
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY ODGŁOSY

SAMO - PRANIE

„Ewunia" urzęduje na Widzewie (Armii Czerwonej 4), od kwietnia ubiegłego roku, codziennie między 6 a 22. Przede wszystkim jest czysta i świeża. Dlatego pociąga mężczyzn.

Do samoobsługowego salonu pralniczego, ciągną — o dziwo! mężczyźni. Stanowią oni 30 proc. korzystających z „Ewuni". Dziennie przez salon bieliźniany — gdzie pierze się bieliznę (jest jeszcze salon chemiczny — po 8 godzinach oddaje czystą garderobę), przewija się 60—70 osób.

Pralnice są ustawione w podkowę na środku sali. Przez 75 min. po wrzuceniu bielizny, można się w nią wpatrywać, dzięki oszkleniu pralnic widać bowiem wszystko jak na dłoni. Kto mniej przywiązany do swych dóbr, może wyskoczyć w tym czasie do sąsiadującej z „Ewunią" kawiarni, może czytać książkę, prowadzić towarzyską rozmowę itp.

Potem wyprane skarby (6 zł za 1 kg — ponoć najtaniej w Polsce), podkłada się pod magiel, który oczywiście sam magluje. (Przy okazji — klientki „Ewuni" proszą Dyrekcję Prań o szybszą naprawę magla tzw. łódzkiego, w którym przepaliły się grzałki. Bielizna spod niego wychodząca według opinii „specyn" była lepsza, niż ta oddawana na pastwę innych — czeskich maglii).

Przy balii najlepiej się plotkowało — uczy historia. Przy pralkach — też. A więc, do „Ewuni" przychodzą:

- koleżanki z biur i instytucji, po 3—4 razem, które zawzięcie „dyskutują",
- studenci—intelektualiści, którzy potrafią się tak zaczytać, iż zamiast 75 min. piorą 3 godziny,
- Samotni panowie — z dwoma, trzema koszulami pod pachą,
- młode małżeństwa (mąż wszystko robi),
- zainteresowani mechaniką (jak to się pierze?),
- stały klient z Pabianic przyjeżdżający co miesiąc na motorze — zawsze bez żony,
- w 95 proc. inteligenci pracujący — to źle, liczyło się, że „Ewunia" pomoże głównie robotnicom Widzewa.

Samo-pranie ma w Łodzi przyszłość. Mimo, że niekiedy człowiek się przy nim niewąsko natarga.

ZIMNY WYCHÓW

Ostatnio łódzkie Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców „zwinęło manatki" i w liczbie 151 osób (w tym 140 słuchaczy i 11 profesorów) wyjechało na 2-tygodniowe wczasy do Dusznik i Karpacza. W czasie pobytu w górach słuchacze nie będą przerywać nauki.

Pomysł to bardzo miły i w realizacji z pewnością „wyjdzie". Złośliwi wszakże dodają, że przede wszystkim chodzi w nim o to, by nie przerywać „ciągu aklimatyzacyjnego". Słuchacze z gorących krajów bardzo narzekali na grudniowe mrozy, ostatnio zaś zelżało. By więc nie wyobrażali sobie, że zaraz będzie wiosna, trzeba ich dalej hartować już w warunkach górskich.

WRÓĆ A BĘDZIESZ ZAMELDOWANY

Ech, czego się ci ludzie nie imają ażeby tylko na stałe zameldować się w naszym mieście. W ubiegłym roku pewien zamiejscowy kawaler, lat 26 ożenił się w tym celu z „panną" rocznik 1892. Biegli w matematyce obliczą, że różnica wieku między „małżonkami" sięga proroczej liczby 44. Zdarzają się też roszady: on miał 72 lata, a ona 19.

Pracownicy Urzędu Kontroli Ruchu Ludności kiwają z oniemienia głowami, ale wnioski o zameldowanie na stałe muszą w takich wypadkach dawać. Toż przecież małżeństwo nie może mieszkać oddzielnie.

Ale i ta małżeńska metoda wmeldowania się w Łódź ma swoje wady. Otóż pewnemu krawcowi z Kołacina nawet małżeństwo nie pomogło, ponieważ teść złożył w Urzędzie Meldunkowym następujące zastrzeżenie: — „Uprzejmie proszę o wstrzymanie decyzji na zameldowanie ob. Potargowicza Ryszarda. Powyższe zastrzeżenie motywuję tym, iż w/w od dnia ślubu nie przychodzi w ogóle do domu".

— Człowieku! — Chciałoby się zawołać — wróć, a będziesz zameldowany!

Piękne studentki na łamy „Odgłosów"

Fot: A Kobyliński

OSTATNI NA KORBKĘ

Odkryliśmy niedawno prawdopodobnie ostatni w Łodzi telefon „na korbkę". A odkryliśmy w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Łódzkiego, w Katedrze Historii Polski XIX i XX wieku.

Chcąc wywołać sygnał miejski, odnośny pracownik Katedry kręci korbką, czekając aż ktoś w innym pomieszczeniu łaskawie przełączy „hebelek" czyli „wajchę" w aparacie wyjściowym.

Aparat ten, będący szczytem techniki ubiegłego stulecia, najpewniej pozostaje dotychczas w Katedrze w tym celu, by pracownicy — przytłoczeni nawałem wydarzeń XX wieku — nie zapomnieli, że mają pracować także nad wiekiem XIX-tym.

JĄKA(J)ŁY

Jak się poufnie dowiedzieliśmy w hotelu „Polonia" pracuje siedmiu recepcjonistów, z których pięciu nie zna ani jednego języka obcego. W „Savoy'u" na ośmiu recepcjonistów tylko jeden zna dwa języki, a dwóch zna po jednym języku. Przypominamy, że oba hotele należą do pierwszej kategorii.

Honor łódzkich hotelarzy ratują jedynie recepcjoniści z „Grand Hotelu", gdzie wszyscy obowiązkowo znają choć jeden język obcy, a czterech z nich włada trzema językami: francuskim, niemieckim i angielskim.

SZKOLIĆ SZEFÓW

Istniejące w Łodzi (jedno z nielicznych w Polsce) pomaturalne Studium Stenotypii i Biurowości opuszcza co roku około 25 absolwentek — kwalifikowanych sekretarek.

Taka sekretarka: stenografuje, zna arytmetykę handlową, ekonomię handlu i przemysłu, ma opanowany biegle w mowie i piśmie język angielski, a ponadto biernie — rosyjski i niemiecki.

Na absolwentki — jako na urzędniczki z prawdziwego zdarzenia — jest duży popyt, głównie w centralach handlu zagranicznego. Jednak dotychczas żadna z nich nie została jeszcze sekretarką.

Tajemnica w tym, że często jeszcze szefowie „nie dorastają" do takich sekretarek, nie potrafią na przykład dyktować na stenogram, lecz wszelką korespondencję tradycyjnie przygotowują w brulionach.

ODKURZAĆ – PRZED IV KWARTAŁEM

Zalecenie to kierujemy do wszelkich instytucji i zakładów.

Istnieje bowiem zarządzenie, które zabrania sprzedaży artykułów handlowych na rachunek instytucjom i zakładom — w IV kwartale.

Trzymają one ponoć, pieniądze przeznaczone na różne cele, aż do końca roku, nie dysponują nimi równomiernie w chwilach faktycznych potrzeb i dopiero pod presją cofnięcia funduszy — w związku z rocznym rozliczeniem, kupują co się da. Aby wykazać, że pieniądze są im potrzebne i że wszystko wydali. Jeśli więc jakaś instytucja jest w prawdziwej potrzebie kupienia czegokolwiek właśnie w IV kwartale cierpi męki Tantala. Widzi, łaknie, może dotknąć, ma za co kupić... ale nic z tego. Nie dostanie rachunku, a bez rachunku można dostać parę miesięcy.

Potrzeba jest na szczęście matką wynalazków. Dowiedzieliśmy się, jak sobie poradziła w podobnych okolicznościach pewna instytucja, łaknąca w IV kwartale odkurzacza. Nie wolno jej było kupić, sklep nie mógł sprzedać. A kurz — na dwa cale!

Więc; wystawiono zapotrzebowanie sprzed IV kwartału. Handel na tymże zrobił adnotację, że — niby — sprzeda, jak odkurzacze będą, i — niby odkurzacze przyszły dopiero w IV kwartale...

WZÓR i WIESZAK

Gmach biblioteki uniwersyteckiej przy ulicy Matejki zapewne przez długie lata pozostanie lokalnym wzorem nowoczesnej architektury i wyposażenia wnętrz. Obok dostatku szkła i chromu, pięknych fresków na ścianach, bogactwa kwiatów i stylowego umeblowania, zwraca w bibliotece uwagę jeden jeszcze szczegół — szatnia. Płaszcza, oddanego do szatni, nie wieszają tam „w tłoku", każde okrycie dostaje osobne ramiączko. W ten sposób garderoba sobie odpoczywa wracając do kształtu nadanego jej przez krawca, a szatnia okazuje się znacznie bardziej pojemna.

Taka szatnia z pewnością pozostanie w Łodzi również długo niedoścignionym wzorem, jak sam gmach.

Plotki-anegdotki

— Kim Pani chce właściwie zostać — pytał pewien profesor młodą studentkę, aktorkę „Pstrąga" — divą filmową czy magistrem filo-

— Divą filmową z tytułem magistra filologii.

Pewnemu studentowi Szkoły Aktorskiej kazano przygotować na ćwiczenia z „zadań aktorskich" jakąś scenę ze Słowackiego.

Student poszedł do biblioteki, poprosił o tom dramatów, otworzył i... załamującym się ze zdumienia głosem wyszeptał: o cholera, „toto" wierszem?

Do profesora Zdzisława Skwarczyńskiego z UŁ zgłasza się student na seminarium literatury Oświecenia.

— Z jakiego okresu chce pan pisać pracę magisterską? — pyta profesor.

— Z Dwudziestolecia.

— Czemu więc przychodzi pan na seminarium Oświeceniowe?

— Bo... panie profesorze, literatura Oświecenia znajduje tak głębokie odbicie w Dwudziestoleciu, że to seminarium bardzo mi pomoże.

— Ma pan słuszność — mówi profesor Skwarczyński – opowiadano mi, że Zatopek po przebiegnięciu 10 kilometrów skoczył w dal 6 metrów. Nic dziwnego — dodaje po chwili — z takiego rozbiegu.

Zdarzyło się kiedyś na jednym z lat Wydziału Lekarskiego Akademii Medycznej, że cała kilkunastoosobowa grupa studentów oblała gremialnie egzamin z interny u profesora Grotta.

— Trudno — powiedział wtedy z uśmiechem prof. Grott. – Będziecie tak długo przychodzić do mnie zdawać aż wszyscy koledzy zaczną nazywać was „grotolazami".

GROŹNE MEMENTO

W okresie ostatniego pięciolecia Zakład Medycyny Sądowej AM w Łodzi wykonał 1.710 sekcji zwłok, w tym m. in. w sprawach wypadków drogowych — 276 sekcji, samobójstw — 125 sekcji, zabójstw — 126, wypadków w czasie pracy — 92 sekcje. Alkohol we krwi wykryto w 220 przypadkach. Ponadto u 50 denatów stwierdzono zgon wskutek ostrego zatrucia alkoholem.

Fakty te podał prof. dr Bronisław Puchowski, kierownik Zakładu Medycyny Sądowej w Łodzi, na konferencji naukowej z zakresu medycyny sądowej, kryminologii i kryminalistyki w Szczecinie.

Redaguje Zespół ★ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ★ Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 144-79 ★ Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 1.—, kwartalnie zł 12.— ★ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ★ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" ★ Druk: RSW "Prasa" - Łódź, Żwirki 17 ★ Zam. 53. I. A 6